

OMNIUM



Le mie prigioni II

1

K.50

57/50

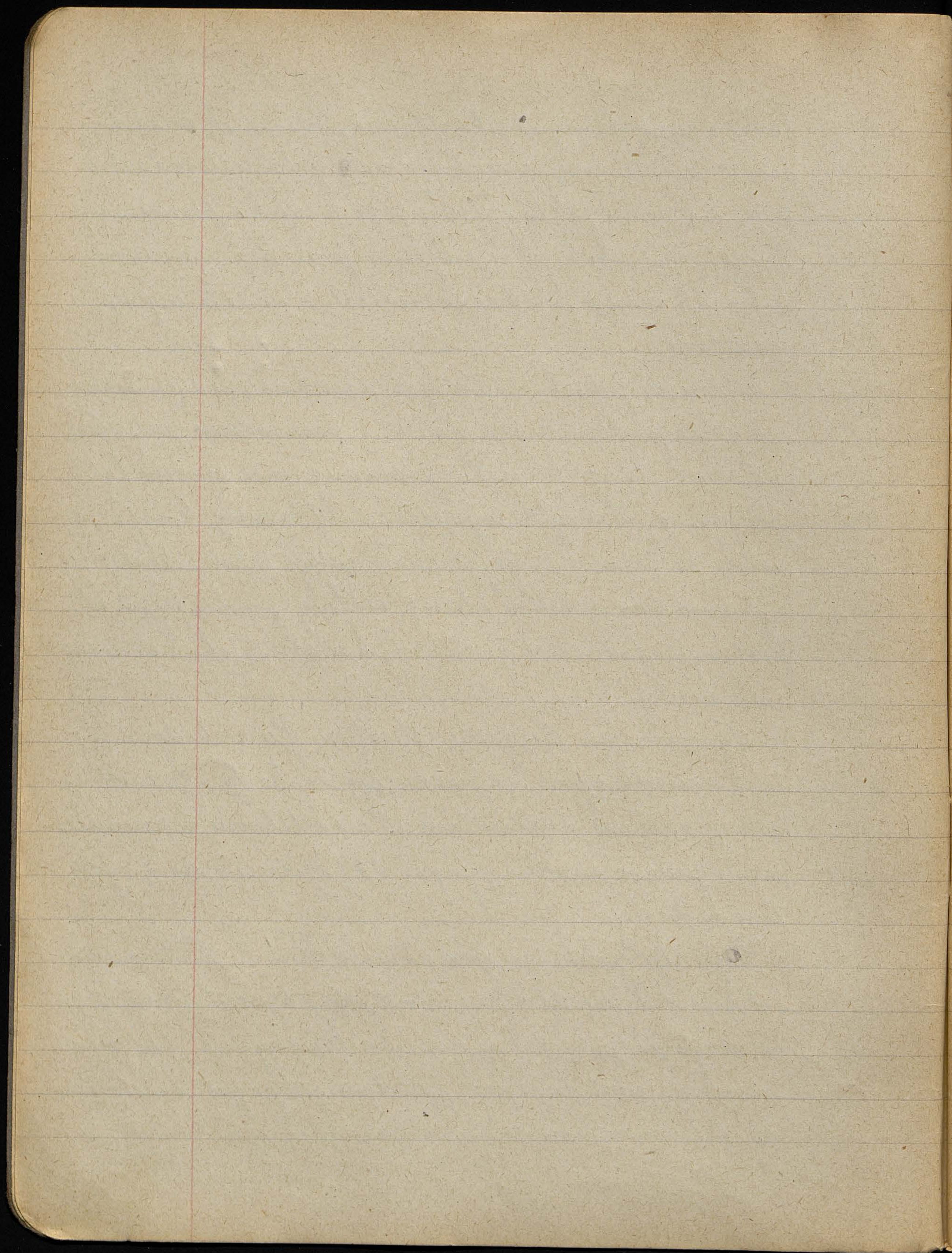
+.6

lecką i zaczął tam nawet wydawać „Dziennik urzędowy”, bawiąc się w samozwańczego generała gubernatora i satrapując tak samo jak to czyniły jego rosyjskie pierwowzory. Dziękowałem więc Bogu, że socyaliści przez ślepą mściwość uchronili mnie przed odpowiedzialnością za te czyny. ~~[illegible]~~.

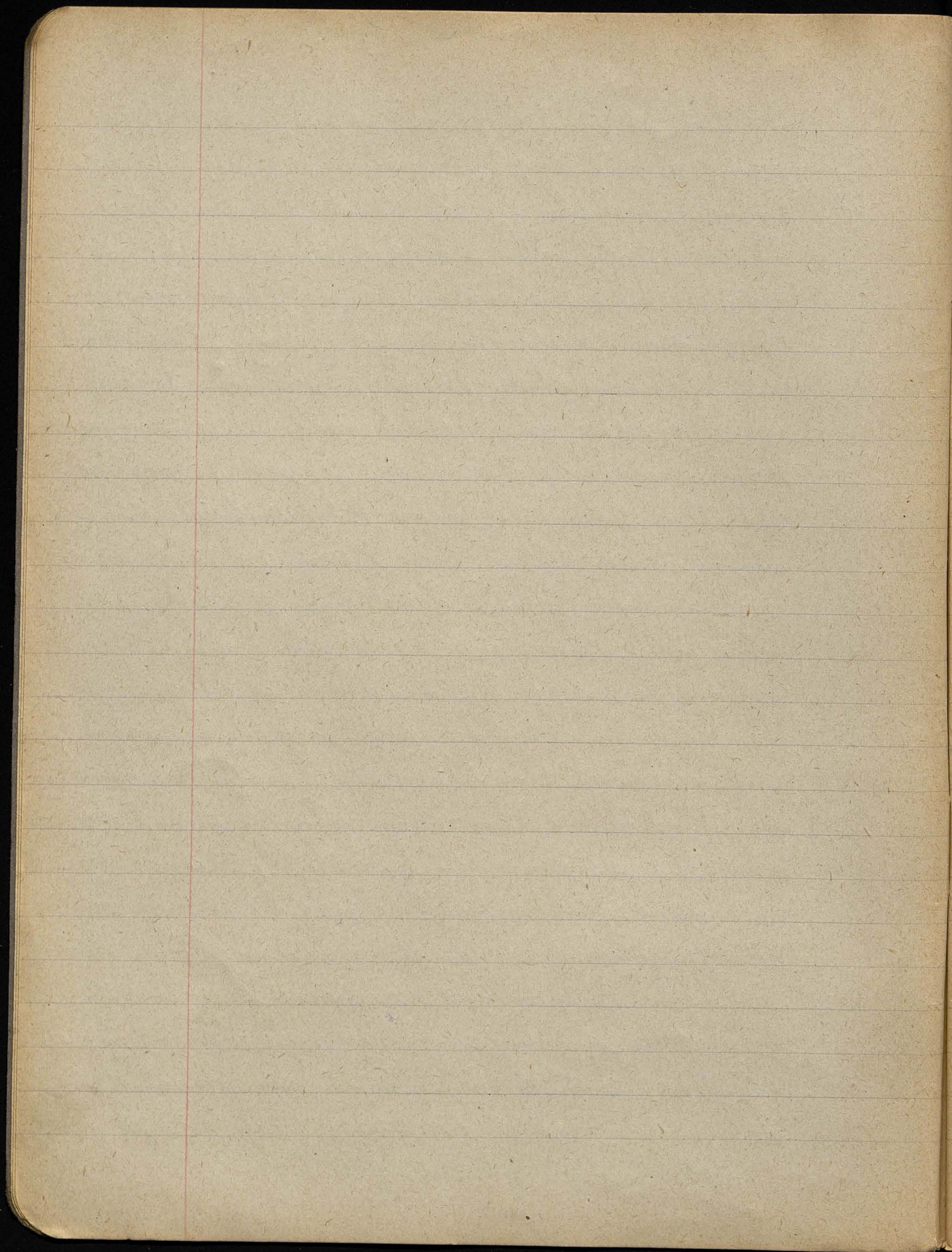
Widząc się jednak osaczonym, zamknąłem się w domu, nie pokazywałem się na mieście i ~~rozpocząłem~~ podjąłem na nowo studya literackie, przerwane przez siedem lat posłowania. Raz tylko wyszedłem z tej rezerwy, kiedy Drużyny sokole po złożeniu przysięgi miały ruszyć w pole: Napisałem w „Przewodniku sokolim” odezwę, w której przestrzegałem ich przed wyrządzaniem gwałtów tych właśnie, jakich się dopuszczali strzelcy.

Tymczasem Rosyanie zbliżali się ku zachodowi. W połowie września ogłoszono ewakuacyę Krakowa z ludności cywilnej, zaczem umieściłem się na ostatnim zapowiedzianym pociągu ewakuacyjnym i 19 września nocą zajechałem do Białej.

Dyrektor polskiego gimnazyum T.S.L. p. Stein wysłał był całą rodzinę do Styryi, wnet więc zaprosił mnie, abym u niego zamieszkał w gmachu towarzystwa. Gdy później i sam wyjechał do Styryi, zostałem jedynym lokatorem dyrektorskiego mieszkania i zarządcą gmachu.



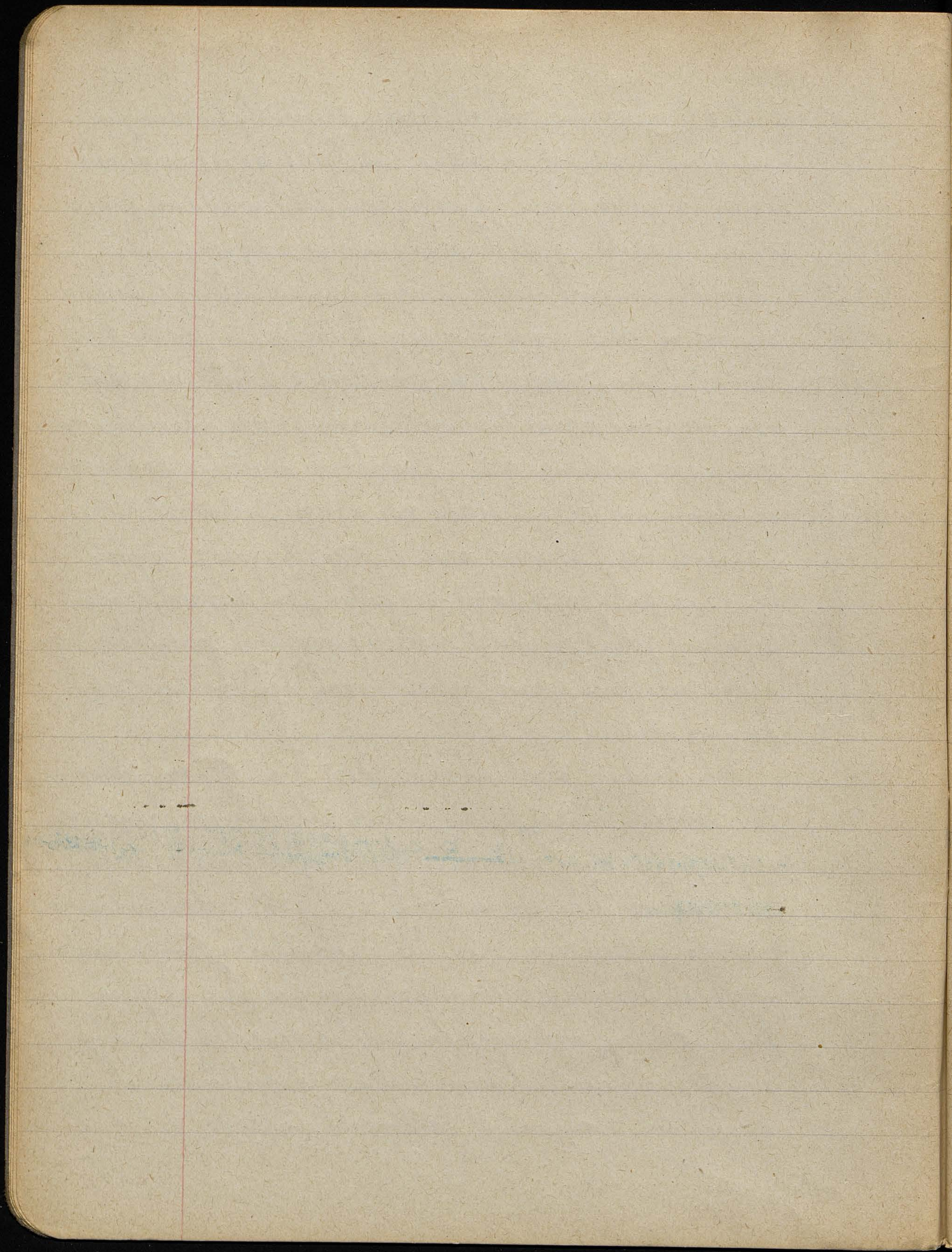
A gmachów było potrzeba coraz więcej. Krajowa dyrekcya skarbu przeniosła się już do Białej, a za nią zaczęły napływać inne władze krajowe. Namiestnictwo, urzędujące od końca września w Nowym Sączu, przez Węgry i Śląsk cieszyński przeprowadziło się do Białej. Dla illustracyi stosunków zaznaczę, że podróż trwała z górą 40 godzin w wozach towarowych i jeden tylko namiestnik miał swój wagon salonowy. Wszyscy inni panowie z żonami siedzieli się na barłogu w bydlęcych wozach, nieopalanych mimo dokuczliwego zimna. Dr Korytowski zaprosił wprawdzie wiceprezydenta Rady szkolnej krajowej Dra Dembowskiego do swojej salonki, ale ten odmówił, chcąc ze swoimi współpracownikami dzielić trudy i niedolę. Zapytywany później, o jaką była ta podróż, odpowiadał, ~~ze~~ z wykwintną ironią, że nie tyle wygodna, ile dostojna. W tem zapakowaniu galicyjskiego namiestnictwa do bydlęcych wozów wyraziła się pogarda władz wojskowych do władz cywilnych, a zwłaszcza lekceważenie dla polskich władz w Galicyi. Wagonów osobowych nie brakowało wtedy, bo z miejscowości ewakuowanych zabierano ile możności wszystek materyał kolejowy tak że stacye dalsze od strefy wojennej były wprost zawalone wagonami i lokomotywami. Ale ~~te~~ wojskowi komendanci dworców, dla pokazania swojej wszechmocy, płatali ciągle złośliwości cywilom i Polakom, a przez nieznającą się na rzeczy arbitralność dezorganizowali ruch kolejowy z wielką szkodą nawet dla armii.



Biała i Bielsko, oraz wsi okoliczne, zapełniły się nietylko krajowymi urzędami ze Lwowa, nietylko zarządami centralnymi galicyjskich stowarzyszeń, ale i urzędami powiatowymi, z okolic zajętych przez inwazyę rosyjską.

Osobna wzmianka należy się nauczycielom, którzy tłumami przyjeżdżali do swojej władzy, żeby się dowiedzieć o swój dalszy los. Był z początkiem wojny plan, żeby urzędnikom państwowym wypłacić naraz trzymiesięczną pensyę i zerwać z nimi wzajemne zobowiązania - z początkiem września postanowiono dawać im tylko zaliczki miesięczne, niższe od płacy. Nauczycielstwo, opłacane przez Wydział Krajowy, musiało być zaniepokojone o swoją przyszłość, boć Wydział Krajowy po zajęciu Galicyi nie mógł marzyć o ściąganiu podatków. Zatem ogromne rzesze nauczycielskie mogły być skazane na śmierć głodową.

W tej trudnej chwili wiceprezydent Rady szkolnej krajowej Dr Dembowski okazał się dla swoich podwładnych prawdziwie opatrznościowym mężem. Nietylko wymógł na rządzie stosowną pożyczkę, ale postarał się o jasne postawienie sprawy funkcyonaryuszów przez rząd, który zobowiązał się regularnie wypłacać pobory urzędnikom państwowym przez cały czas trwania wojny, oraz regularnie zasilać Kasę Krajową, aby rząd Krajowy mógł tak samo postępować wobec swoich oficyalistów. Ponieważ Dr Dembowski urzędował w budynku,



którym zarządzałem, mogę zaświadczyć, że pracował poprostu ponad siły ludzkie, oblegany wiecznie przez tłumy, a nigdy zniecierpliwiony, wyczerpany czy opryskliwy. Te tysiące ludzi, które chodziły do niego, opuszczały biuro pełne nadziei i pokrzepienia. Obok najżyrliwszego załatwienia sprawy Dr. Dembowski znajdował dla każdego z natrętów jeszcze jakieś pogodne słowo, które krążyło potem z ust do ust, przynosząc wnosząc promyk światła w ową niesłychanie ponurą atmosferę. Ten człowiek, atakowany pierwej, zdobył sobie najgorętszą i jednogłośną miłość u całego nauczycielstwa, bez względu na uprzedzenia zawodowe i partyjne. To może jedyny człowiek w Galicyi, który podczas wojny okazał się właściwym mężem na właściwem stanowisku i zaskarbił sobie jednomyślną i niezagasłą wdzięczność. Zaznaczam to dlatego, że przed wojną i ja należałem do ludzi, którzy uważali, że nie dorósł do zadania. ~~Wojna zadała nam wszystkim kłam i zawstydziła tych, którzy mu urągali. Między nimi byłem i ja, chociaż nie najjaskrawiej występowałem.~~

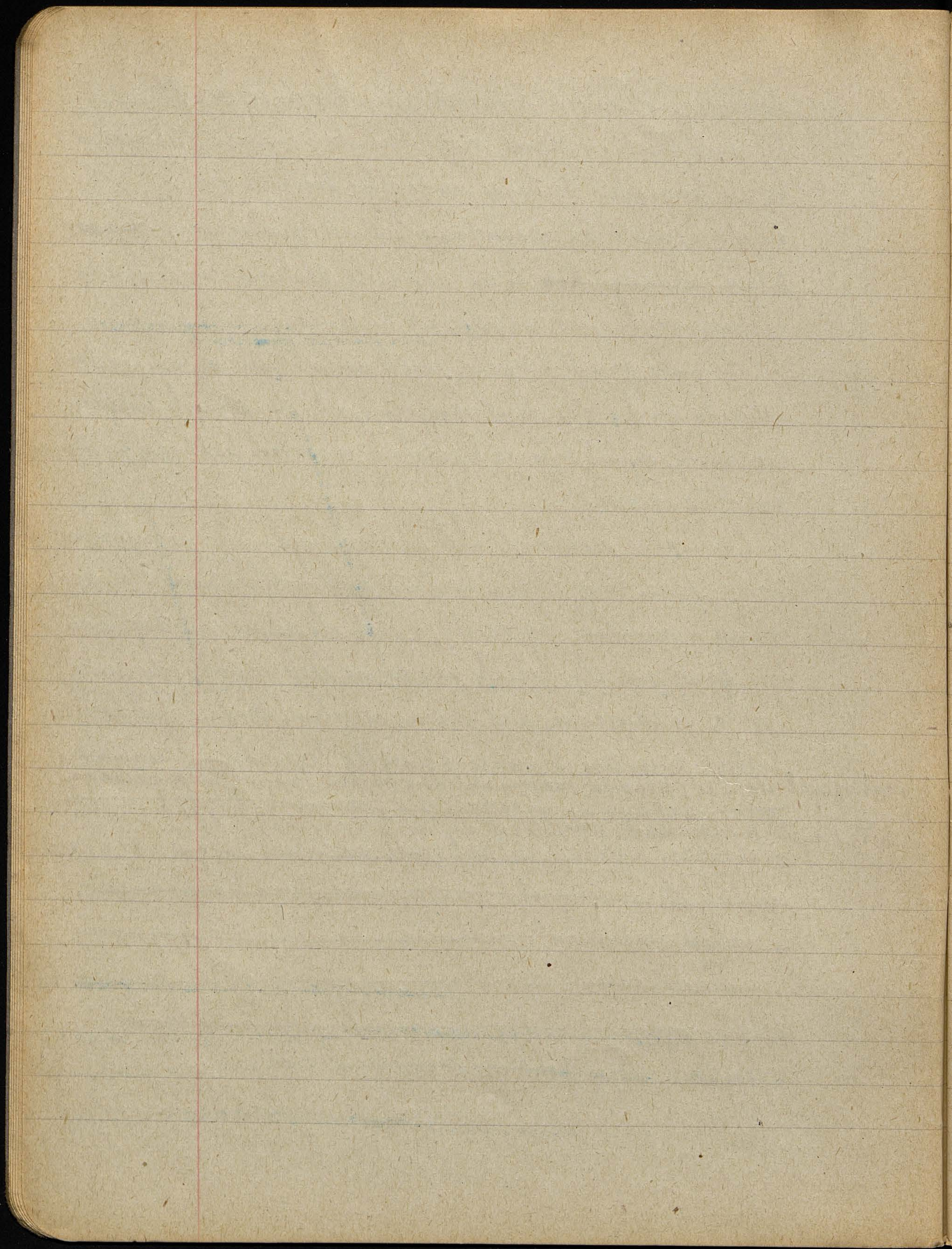
Równocześnie z przeniesieniem się namiestnictwa do Białej, przeprowadził się sztab generalny armii z Nowego Sącza do Cieszyna przez Białą i Bielsko. A obok tego cofała się artylerya i szły nieprzeliczone treny z wycieńczonymi końmi. Widok cofających się wojsk niektórych, a zwłaszcza trenu zmor-

dowanego sprawiał wrażenie najokropniejszej klęski. Żołnierze brudni i odarci, rynsztunek i uprząż zniszczona, konie konające. Rachując na krótkie trwanie wojny, wojsko szafowało bez upamiętania ludźmi i zwierzętami, ~~Żołnierze~~, ~~z tyłu żołnierzy i koni~~ to też szkielety okaleczałe wracały z pogromu: wojsko mar na upiorach koni.

Rosyanie przeszli Karpaty, przeszli potem Dunajec, a w początkach listopada głuchy głos dział rosyjskich, ostrzeliwujących twierdzę Krakowską, słychać było na lipnickich pagórkach pod Białą – zwłaszcza pod Hałcnowem.

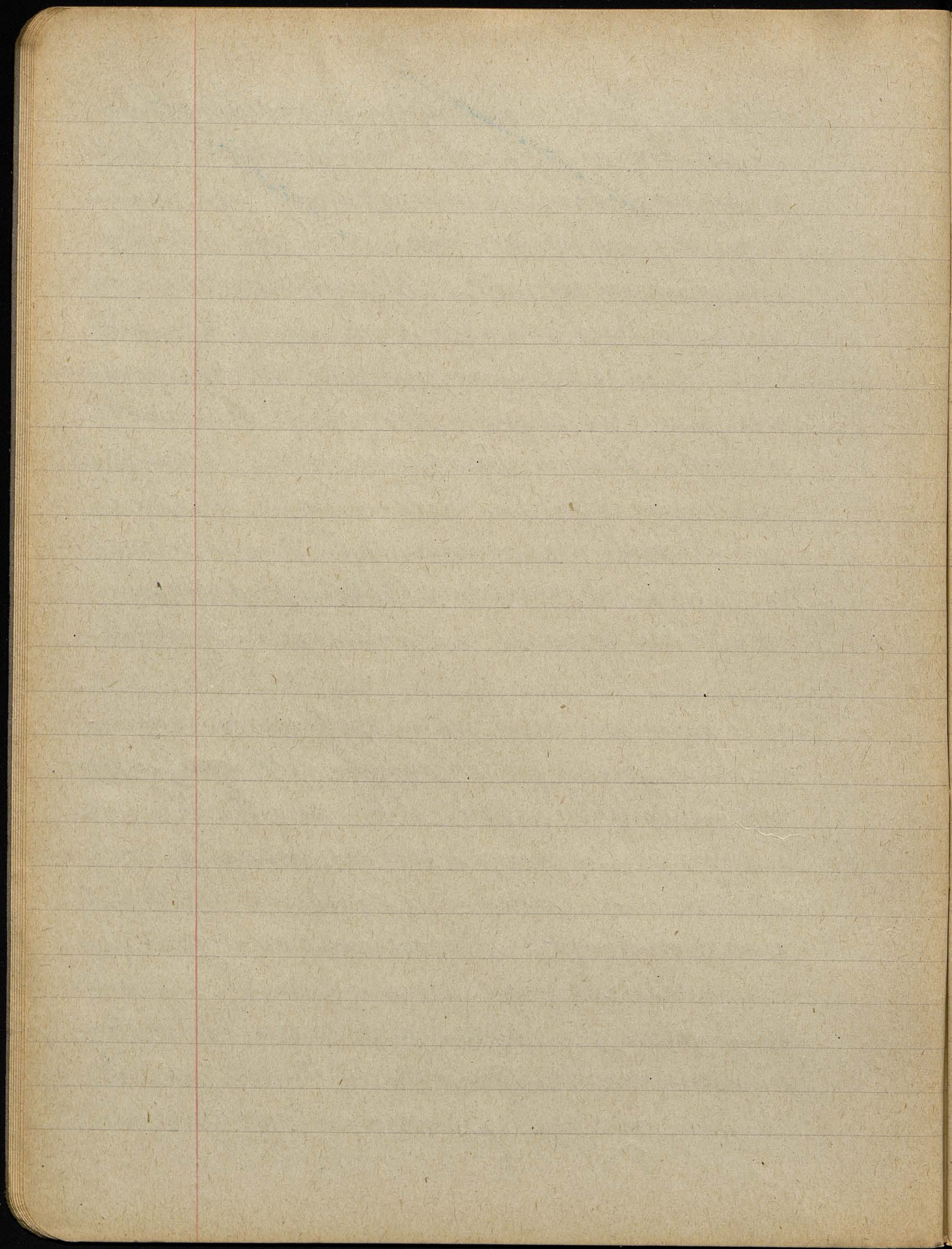
Z mnóstwa ciekawych, choć drobnych wydarzeń i rozmów, zanotuję jedno. Przyjechał z Wiednia automobilem socyalistyczny poseł Dr Liebermann w mundurze legionisty, a choć stosunki między nami były gorzej niż złe, zebrało mu się na serdeczność, gdy mnie spotkał w kawiarni „pod czarnym orłem." Widział już koniec Austryi, przegraną Niemiec i omyłkę legionów – ~~a sens roz-~~ i on socyalista, (co prawda mający między nimi największą odwagę własnych przekonań), przybliżył się teraz do [illegible]. ~~mowy kończył się niewyrażoną jasno sugestyą, że ci tym-czasowiacy uciekają się pod moją protekcyę, abym im u zwycięzkich Rosyan wyrobił przebaczenie. „Ten błazen wierzy, że jestem rusofilem," mruknąłem do siebie i pożegnałem się z obrzydzeniem. Tymczasem mogła to być propozycya, żebym wyzyskał okazję u zwycięzców jako prawdziwe wyznanie mojej politycznej wiary.~~

Przez cały ten czas trzymałem się na uboczu. Pilnowałem



swojego języka tak, że przy najlepszej woli denuncyantów nie możnaby mi nic zarzucić karygodnego wedle najdowolniej interpretowanych rozporządzeń wojennych. Czułem, po prostu pewny byłem, że rząd chce mi wyrządzić jakąś nieprzyjemność czy gwałt, i postanowiłem sobie nie dostarczyć mu żadnego pozoru. Chciałem zobaczyć, czy zechce mnie ścigać za działalność, rozwijaną przed zawieszeniem konstytucyi i czy odważy się ~~sta~~ popełnić bezprawie sądzenia moich dawnych słów i czynów według teraźniejszych rozporządzeń wojennych. Wiadomo bowiem, że sądzi się postępki wedle praw, obowiązujących w chwili dokonania czynu. Otóż od zawieszenia Konstytucyi, od ogłoszenia rozporządzeń wojennych, nie robiłem nic i nie mówiłem nic.

Za to pisałem dzień po dniu spostrzeżenia. Zacząłem to regularne pisanie już w Tarnopolu i odtąd notowałem codziennie fakty, pogłoski, plotki: wszystko. Pisałem też i moje uwagi. A chociaż je pisałem, niezupełnie swobodnie i szczerze, licząc się z możnością wyłowienia zapisków, to co napisałem, wystarczyłoby całkowicie na stryczek, gdyby było powiedziane głośno. Uważywszy jednak, że te pamiętniki były tajemnicą, gotowałem się do ewentualnej obrony, w tem przekonaniu, iż mnie ona od śmierci nie ocali, ale mieć będzie zasługę jasnego postawienia sprawy,

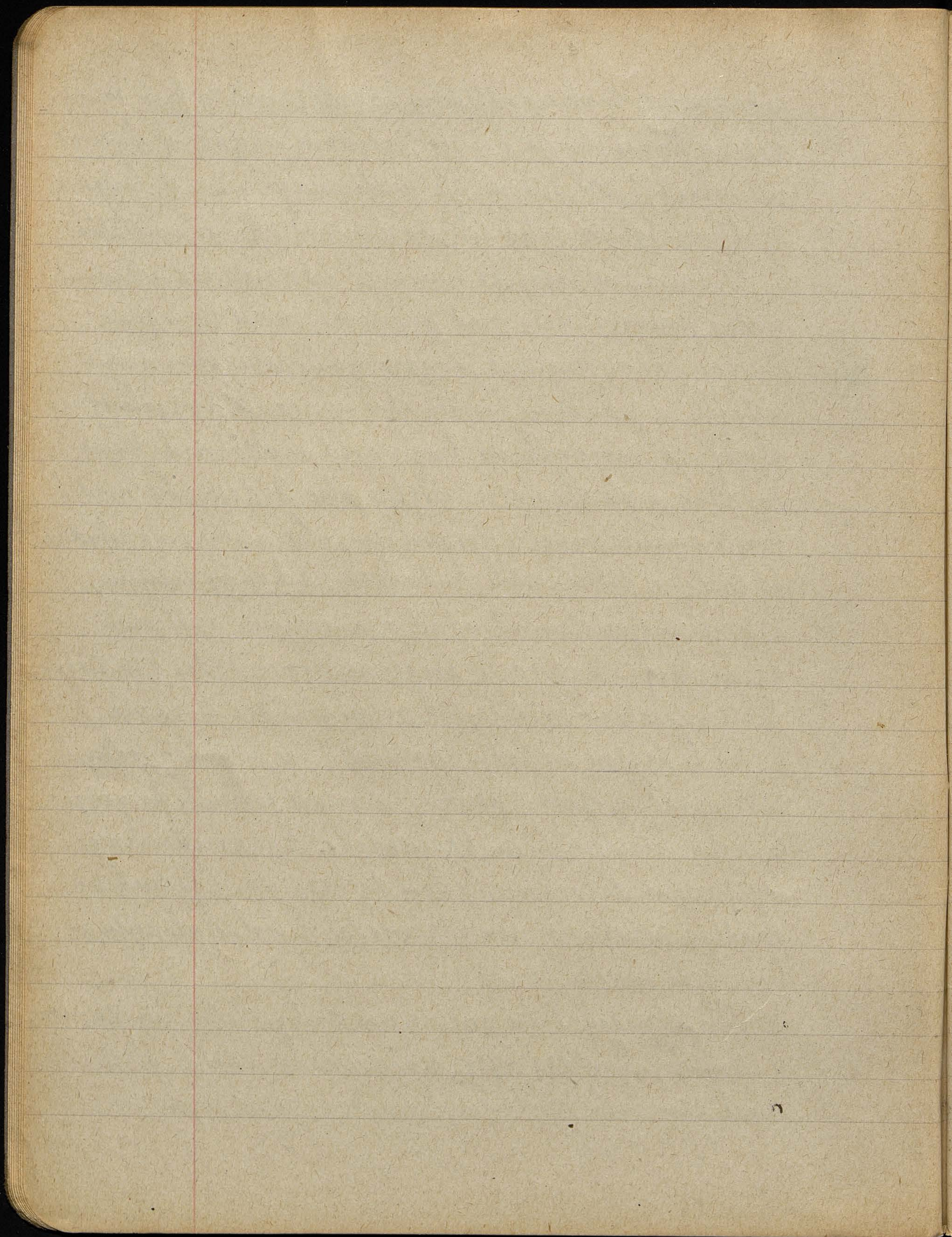


mianowicie, że wbrew ustawom zasadniczym, wbrew zaprzysiężonej Konstytucyi i oświadczeniom rządów, w Austryi nie wolno być Polakiem. Dla publicznego skonstatowania tej obłudy byłem gotów iść na śmierć za moje notatki.

Tymczasem rosyjska inwazya szła naprzód. Namiestnictwo przemyśliwało nad przeniesieniem się w głąb Austryi. Linię Dunajca uznano za tymczasowe dami wstrętu, a jako linię trwałą obrony zaczęto przygotowywać okopy na morawskim dziale wód w Mährisch Weisskirchen czyli Hranice. Stolice obie Budapeszt i Wiedeń zaczęto opatrywać z pospiechem. Niemniej i na południe od Białej w Wilkowicach budowano zachrony ziemne, aby nieprzyjacielowi utrudnić opanowanie przełęczy żywieckiej i zagrodzić drogę na Węgry bodaj z tej strony.

Równocześnie hr. Skarbek rozwiązał we Mszanie Dolnej tz. legion wschodni, ponieważ nie uzyskał żadnych zobowiązań w sprawie polskiej, a nawet formuły przysięgi w duchu nieco polskim. Opowiadano, iż zaaresztowanego wywieziono do Krakowa, potem do Wiednia, i jednak we Wiedniu pozwolono mu odpowiadać z wolnej stopy, w wytoczonym procesie.

Ten wypadek dodał mi osobiście otuchy. Nabrałem pewności, że złowiwszy grubszą rybę, cieńszej dadzą spokój. Jeżeli chcą ścigać kierunek polityczny wspólny nam obydwom, to



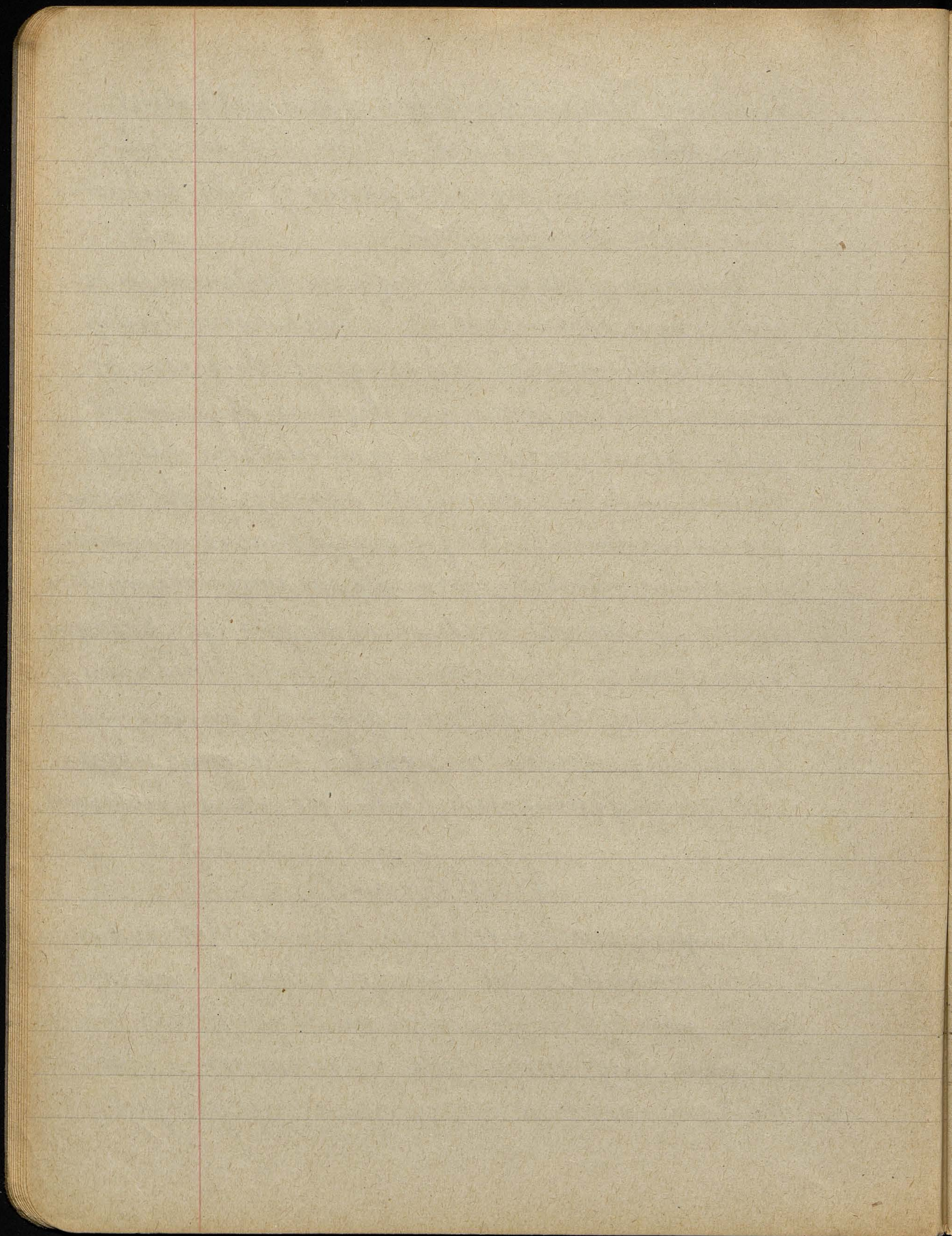
Dr Skarbek nadaje się lepiej do tego, ponieważ podczas wojny, ~~doktor~~ a więc pod panowaniem już rozporządzeń wojennych dokonał czynu, do jakiego ja tylko zachęcałem i to za czasów konstytucyjnych.

Upewniony co do własnej przyszłości postanowiłem być pożytecznym. Zapowiadano bliskie ewakuowanie Białej. Ja postanowiłem zostać i dać się ogarnąć Rosyanom, bo ziemi ojczystej nie porzucę i do obcych na wygnanie nie pójdę. Objąłem więc opiekę nad tymi Polakami, którzy również nie chcieli uchodzić przed okupacyą. Wielu urzędników namiestnictwa, którzyby w razie ewakuacyi musieli iść na dalszą wędrówkę, poruczało mi swoje rodziny, które dawszy się zagarnąć, spodziewały się połączyć z krewnymi, pozostałymi w okupowanej już części kraju. Chodziłem więc z odwiedzinami do moich pupilów i przygotowywałem organizacyę narodową na wypadek wkroczenia Rosyan.

W tych przygotowaniach zaskoczyło mnie aresztowanie.

Aresztowanie.

Był mglisty ranek w sobotę 28 listopada 1914. Szędziel[i]na przyczepiała się do gałęzi i pokrywała twardniejące błoto. Mrok jeszcze nie ustąpił, gdy o pół do ósmej rano zadzwoniono do mego mieszkania. Otwarłem sam i wpuściłem dwóch wachmistrzów żandarmeryi, jednego policyanta



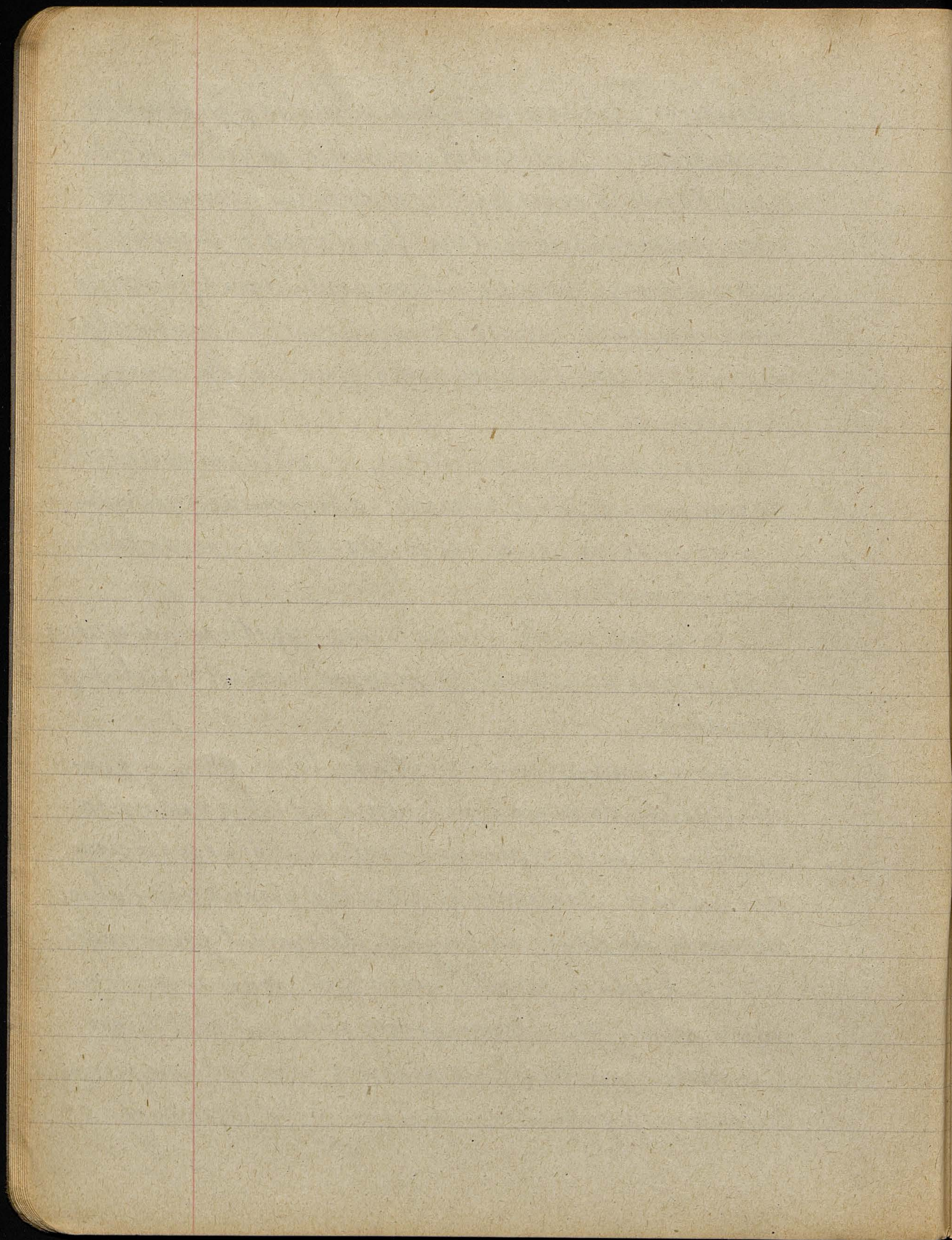
miejskiego i jakiegoś pośrugacza. Powiatowy wachmistrz żandarmeryi, Czech mówiący nieźle po polsku, nie zdejmując karabina, oświadczył, że w imieniu prawa ma u mnie przeprowadzić rewizyę. Zapytałem o pisemny rozkaz sędziego, bo wedle ustaw zasadniczych tylko sędzia może nakazywać rewizye i aresztowania. Wachmistrz odpowiedział, że sędziowskiego rozkazu nie ma, ale rewizyę przeprowadzi.

— Proszę zanotować w protokole, że zakładam protest przeciw rewizyi, którą uważam za bezprawną - powiedziałem.

— To się Panu na nic nie przyda - odrzekł rzeczą bardzo grzecznie wachmistrz.

— Ja też nie myślę stawiać oporu - wpadłem mu w słowo - tylko pragnę zanotować bezprawność rewizyi i protestuję formalnie.

Było to w mieszkaniu dyr. Sterna. Wskazałem więc, które rzeczy należą do mnie i wachmistrz był tak grzeczny, że nie tykał książek, papierów i sprzętów, które oznaczyłem jako nie moje. Mogłem więc kłamać i własne rzeczy ukryć, ale mi to do głowy nie przyszło. Natomiast inne myśli latały. „A jednak przyszli" mówiłem sobie w duszy i nie wiem czemu rumieniec gorący oblał mi całą twarz. Listy odbierane leżały na etażerce, więc zabrano wszystkie. Zabrano moje pamiętniki. Miałem kilka egzemplarzy



oświadczenia posła Cieńskiego, które ~~dr~~ wydrukował w „Głosie Narodu", występując z Naczelnego Komitetu narodowego. Ponadto kilkadziesiąt odbitek sprawozdania śląskiej sekcyi tegoż Komitetu i 5 tysięcy odbitek sprawozdania hr. Skarbka o rozwiązaniu legionu wschodniego. Ten pakunek druków załadował posługacz na grzbiet i odszedł.

Zeszyty pamiętników i listy drugi wachmistrz po spisaniu związał w pakiecik, poczem wszyscy trzej poszli do drugiego pokoju na naradę. Teraz zrozumiałem, że chodzi o aresztowanie. A że zawsze w niepowodzeniach szukam jakiejś strony korzystnej, przemknęło mi przez myśl coś w rodzaju uwagi: „O wa, jeżeli mnie zaaresztują, skończą się moje kłopoty o wyżywienie." Nareszcie wrócili i wachmistrz powiatowy wygłosił solennie:

– W imieniu prawa jesteś Pan aresztowany.

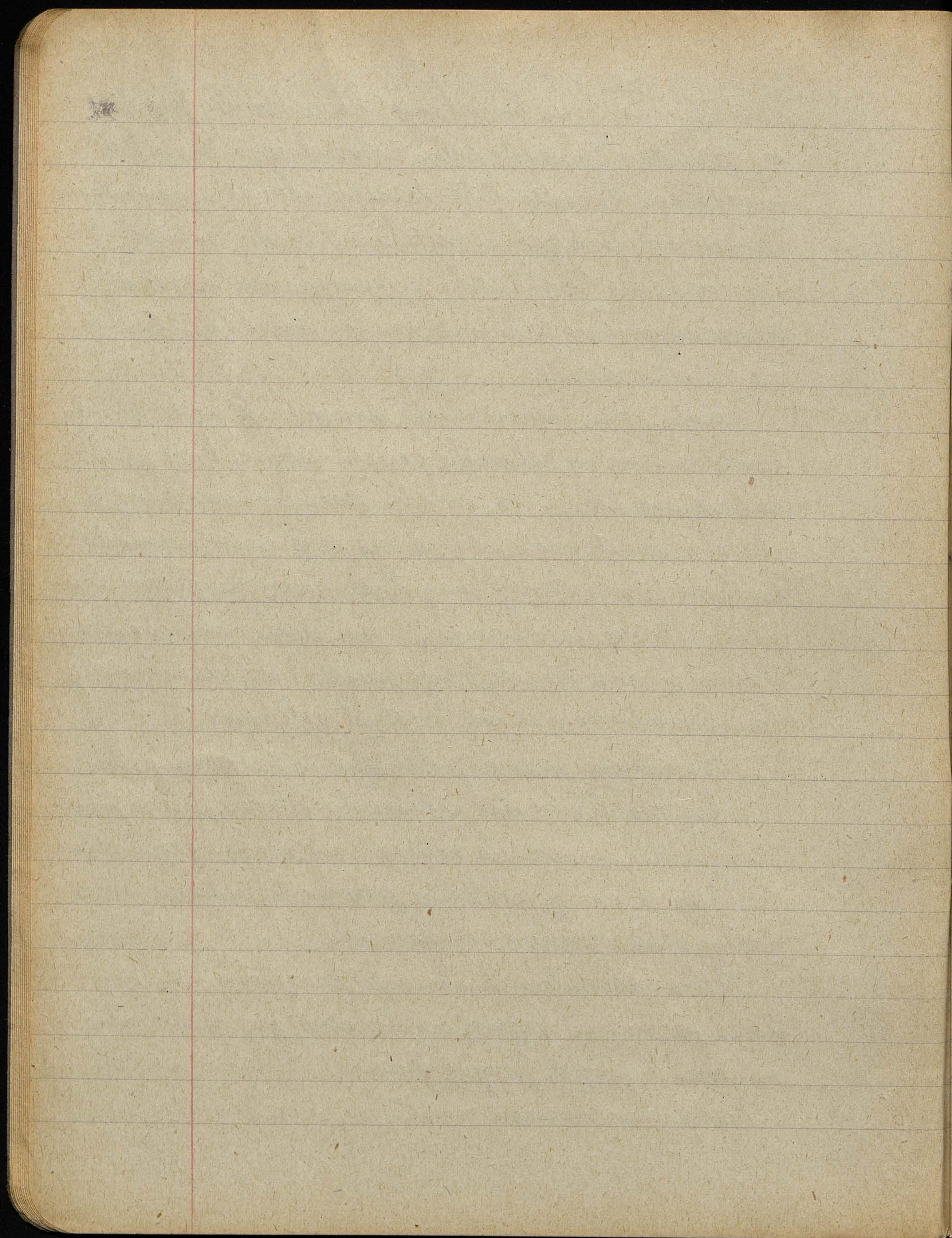
– Czy ma Pan rozkaz sądziowski? Proszę mi go pokazać.

– Rozkaz mam, ale pokazać nie mogę – odpowiedział.

– Więc ja znowu protestuję przeciw bezprawnemu aresztowaniu i proszę o zanotowanie.

– Dobrze – powiedział wachmistrz powiatowy, a jego towarzysz nałożył bagnet na karabin, poprawił hełm na głowie i przyjął pozycyę służbową. Policyant odszedł.

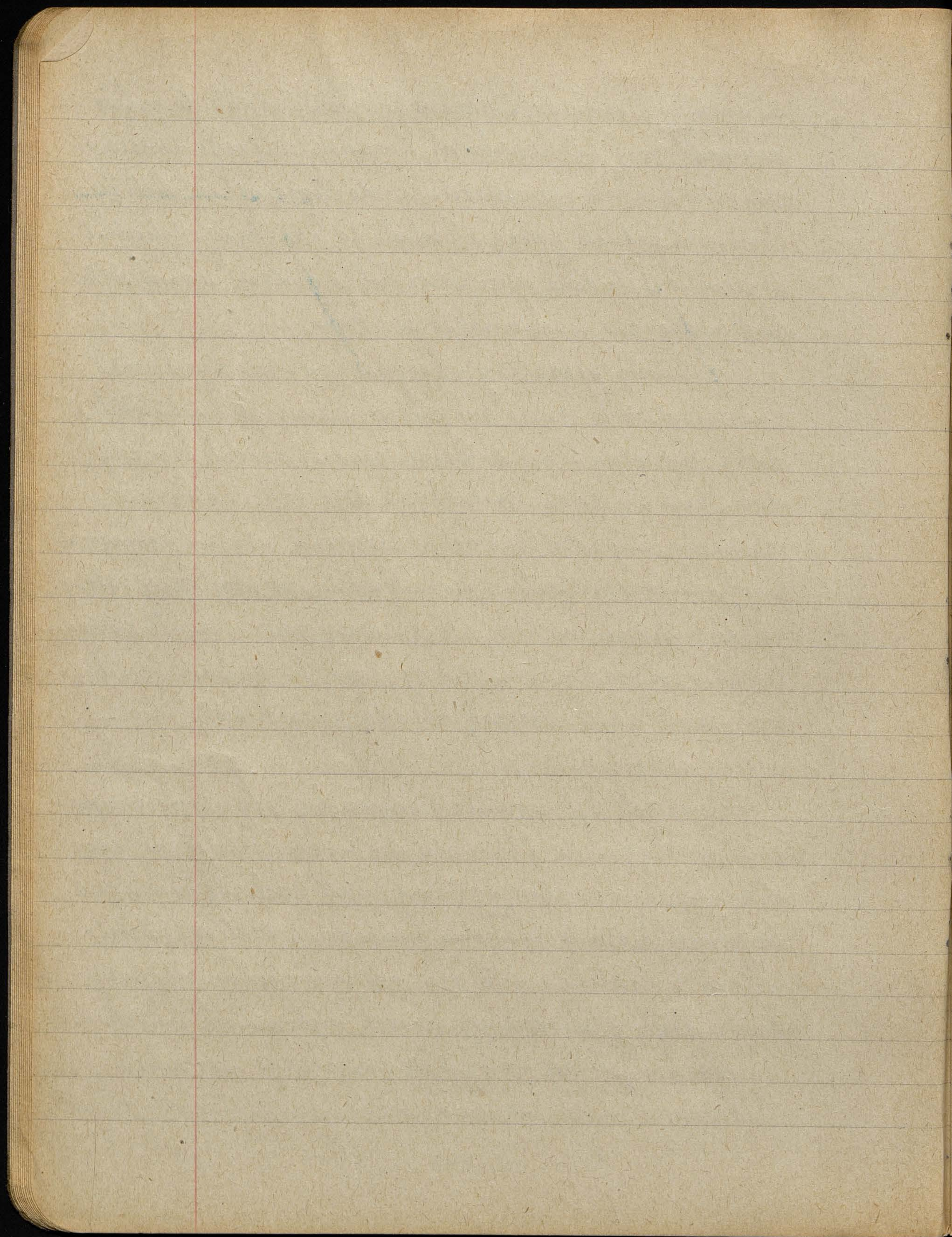
Zapytałem, co mam robić. Była może ósma rano, gdy



się skończyła rewizya. Miałem być odstawiony do ~~więzienia~~ sądu ~~polowego~~ wojskowego przy Krakowskim Korpusie, którego Komenda opuściła Kraków i przeniosła się do Morawskiej Ostrawy. Ponieważ jednak pociąg z Bielska do Dziedzic odchodził dopiero w południe, więc przez kilka godzin ~~mam~~ miałem zostać ~~pod~~ nadzorem wachmistrza w domu.

Wachmistrz powiatowy okazywał mi wiele życzliwości. Tłumaczył, że to musi być nieporozumienie i że za kilka dni z pewnością wrócę do Białej. Radził zabrać bieliznę dużo, bo w więzieniu ~~brakuje~~ nie dają. Polecił memu nadzorcy, aby zdjął bagnet z karabinu, żeby nie pokazywać przechodniom, iż jestem aresztowany. ~~bo~~ Najlepiej byłoby jechać fiakrem na kolej, ale ja, zważywszy wszystkie okoliczności, oświadczyłem, że wolę, niby to gawędząc z towarzyszem, zajść boczną uliczką przez kładkę na stacyę w Bielsku.

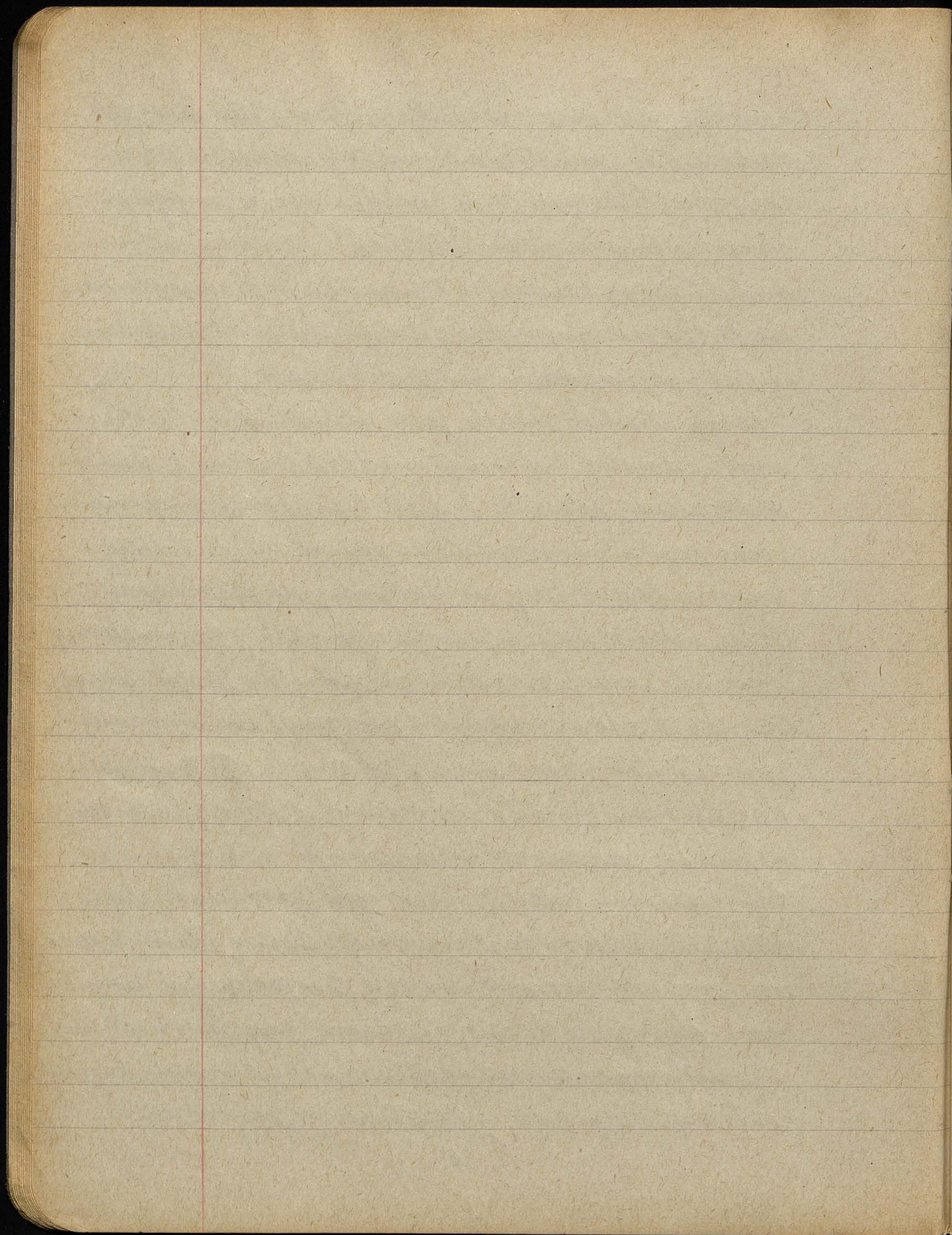
Ten ranek był u mnie nadzwyczaj ożywiony. Przyszedł profesor Rybarski, któremu na piśmie zdałem zarząd budynku i prosiłem, aby mi kupił walizkę w mieście, bo przyjechałem do ~~Krakowa~~ Białej z kufrem, a walizy pozostawiłem w Krakowie. Między odwiedzinami najprzykrzejsze były odwiedziny moich wyborców żywieckich (byłem posłem sejmowym z żywieckiego powiatu). Gadałem z nimi przeze drzwi, odprawiałem z niczem,



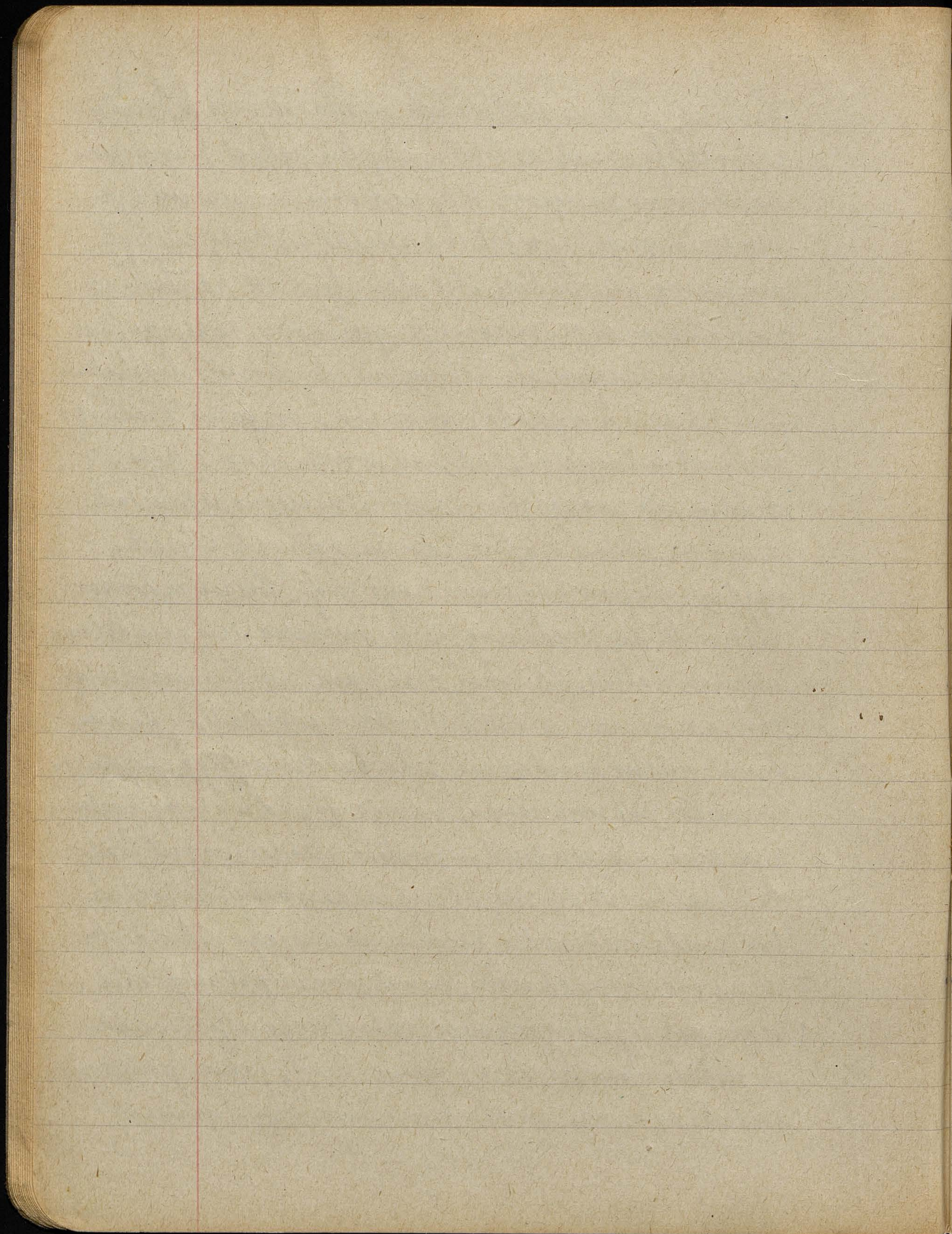
a nie wpuszczałem do mieszkania, czem z pewnością byli obrażeni. Mój anioł stróż czatował za framugą. A jak na nieszczęście kilka partyi ich przyszło. Była to pozycya przykra, bo nie chciałem, żeby się rozeszła wieść o mojem aresztowaniu. Nie chciałem się narazić na demonstracyę Niemców bielskich, wiedząc, że nikczemny ten gatunek błotem i kamieniami urągałby obezwładnionemu przeciwnikowi.

W tych kłopotach minęła jedenasta i dźwigając walizę, w żywej rozmowie z eskortującym żandarmem, przeszedłem boczną uliczką do kładki, a stamtąd żandarm przeprowadził mnie przez strzeżone wejście do pociągu. Siedzieliśmy w wagonie trzeciej klasy, między innymi pasażerami. Nauczycielka bialska p. Surowiecka, z którą pracowaliśmy w różnych polskich organizacyach, potrafiła przejść przez wszystkie kordony i dostała do wagonu, aby się ze mną pożegnać. Tak mnie chwyciła za serce ta życzliwość, że miałem ochotę płakać, a nie wiedząc, co jej przy ludziach powiedzieć, serdecznie ucałowałem jej rękę.

Za kwadrans jazdy stanęliśmy w Dziedzicach, aby się dowiedzieć, że pociąg do Morawskiej Ostrawy idzie dopiero o siódmej wieczorem. Trzeba było czas przepędzić w restauracyi kolejowej. Nagle mój żandarm przypomniał sobie, że w mojem mieszkaniu zostawił pakiet moich korrespondencyi i zapisków, mający stanowić corpus delicti.



Postanowił iść na posterunek żandarmeryi w Dziedziach i telefonować do Biały, aby ten pakiet przywieziono najbliższym pociągiem. W tej wędrówce musiałem i ja mu towarzyszyć, co w futrze i z ciężką waliazką nie było przyjemną przechadzką. Ale choć z trudem załatwiło się i usiedliśmy w restauracyi przepełnionej, zapijając piwo. On odłożył karabin, ale hełmu nie zdejmował. Nadchodziły pociągi, a z nich wysiadali żołnierze z nogami poodmrażanymi w Karpatach. Jedni się wlekli sami o kiju, drudzy szli prowadzeni, innych niesiono w krzesłach. Wszystkie postaci brudne, zarosłe, o długich włosach. Między innymi przyprowadzono prof. Reissa ze Złoczowa, który żalił się przedemną, że to nie rana lecz odmrożenie czyni go kaleką. Za jakiś czas zjawił się komisarz starostwa z Brzezan p. Kuliczkowski i przysiadł się do mnie. Przedstawiłem żandarma, jako bardzo dobrego znajomego (nazwiska nie wiedziałem) i długo gawędziliśmy swobodnie, pijąc piwo. Ale urzędnik starostwa niedarmo jest trochę policyantem. Po dłuższym czasie zauważył, że jednak ten żandarm zanadto podobny do mojego cienia, bo się nie oddalamy od siebie, nawet w razie potrzeby. Nie zapomnę tego uporczywego, natrętnego wpatrywania się p. Kuliczkowskiego we mnie, kiedy jakieś podejrzenie zrodziło się w jego głowie. Naturalnie trzpiotowałem

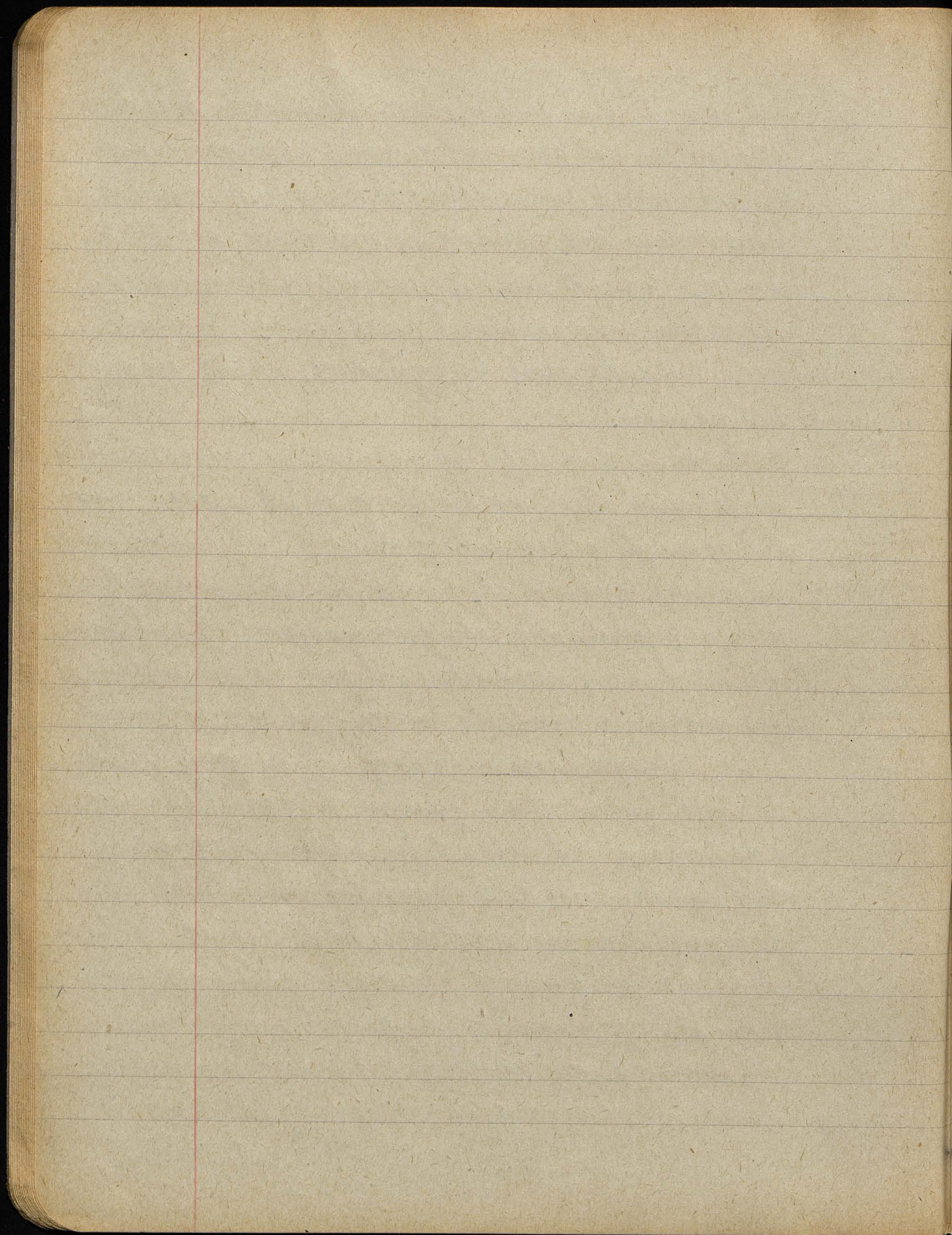


jak za najlepszych czasów, ale p. Kuliczkowski niebawem pożegnał się pod pozorem rozmowy z innymi znajomymi i usiadł bardzo daleko od nas. Potem zjawił się poseł Matakiewicz w mundurze oficerskim, powitał się ze mną i przeszedł między oficerów przy innym stole. Ale i jemu moja zażyłość z żandarmem musiała wydać się podejrzaną, bo wychodząc, nawet nie spojrzał na mnie.

O czwartej przyjechał żandarm z Białej z pakietem. Po otwarciu okazało się, że w miejsce moich notatek włożono takie same zeszyty, ale niezapisane. ~~Przyjaciel, którego nazwiska nie mogę zdradzić, wkładził tę wymianę.~~ Zacny Podgórski zaniim się skrył, uratował moje zapiski.

Nareszcie doczekaliśmy się i mojego pociągu. Wsiedliśmy do trzeciej klasy, między same kobiety, jadące odwiedzić rannych mężów w Mährisch Schönberg (czeskiej nazwy nie znam). Żandarm zdjął hełm, karabin umieścił na półce, więc jechaliśmy jako dwaj znajomi. Okazało się, że obaj nie znamy Morawskiej Ostrawy, zatem postanowiliśmy od komendanta dworca zasięgnąć wskazówek.

Ciężka to była droga do tej kozy, trudniejsza może niż do nieba. Dworzec stoi w gminie Przywóz (Oderfurt), a do Ostrawy jest kilka kilometrów. Fiakrów nie było na kolei, więc za szynami tramwaju wlekliśmy się w nocy. Mnie ręce omdlewały od dźwigania. Pytaliśmy się policyantów, gdzie jest sąd wojskowy – ale oni pytali jaki sąd? garnizonowy (dla piechoty) dywizyjny (dla landwery) czy polowy, to jest prawdziwie wojenny? Niestety! Żandarm zapytał o sąd polowy i to mnie trochę



wstrząśnięto.

Nareszcie napotkaliśmy jakiegoś fiakra i wsiedliśmy prawie przemocą. Adres był pisany: Sąd polowy w Szkole handlowej. Ale fiakrowi nie było wiadome, gdzie to jest ta szkoła handlowa? Zaczęliśmy jeździć po mieście i stawaliśmy przed każdym gmachem, w którego oświeconej sieni stali żołnierze, aby pytać o drogę.

W jednym budynku, gdy tak rozmawiamy z sienią, otworzyło się parterowe okno i jakiś rozebrany pan w koszuli zapytał po polsku: Co to? „Eskorta" odpowiedział żandarm.

– A to do więzienia z nim! Więzienie polowe mieści się w areszcie sądu powiatowego, tam za zakrętem ulicy.

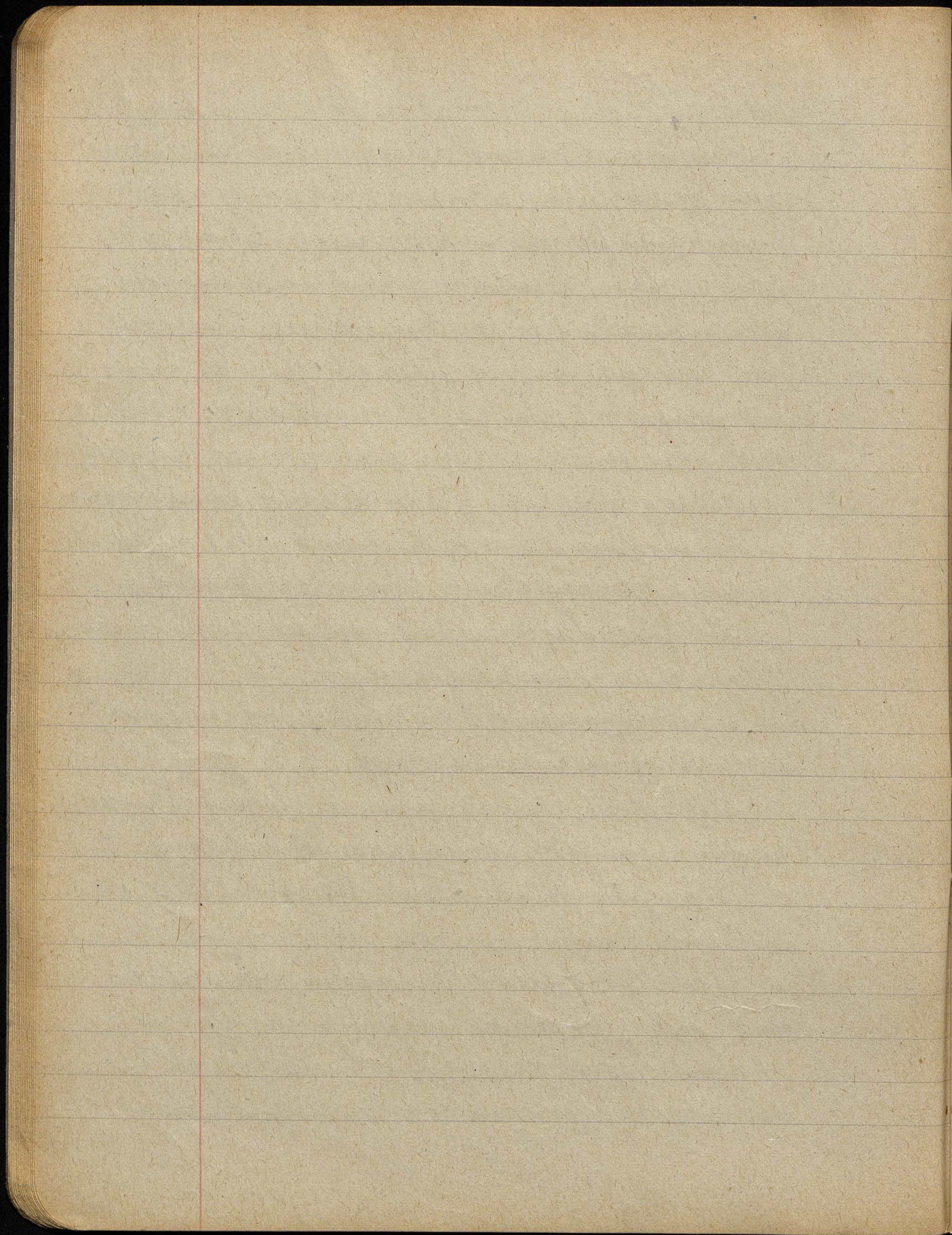
– Ależ ja nie chcę prowadzić mojej eskorty do więzienia, tylko do sądu, powiada żandarm.

– Po północy żaden sąd nie urzęduje – odpowiedział nieznajomy – do więzienia z nim.

– Ależ to poseł, zdaje się niewinny, to jemu z pewnością pozwolą mieszkać w hotelu – oponował żandarm.

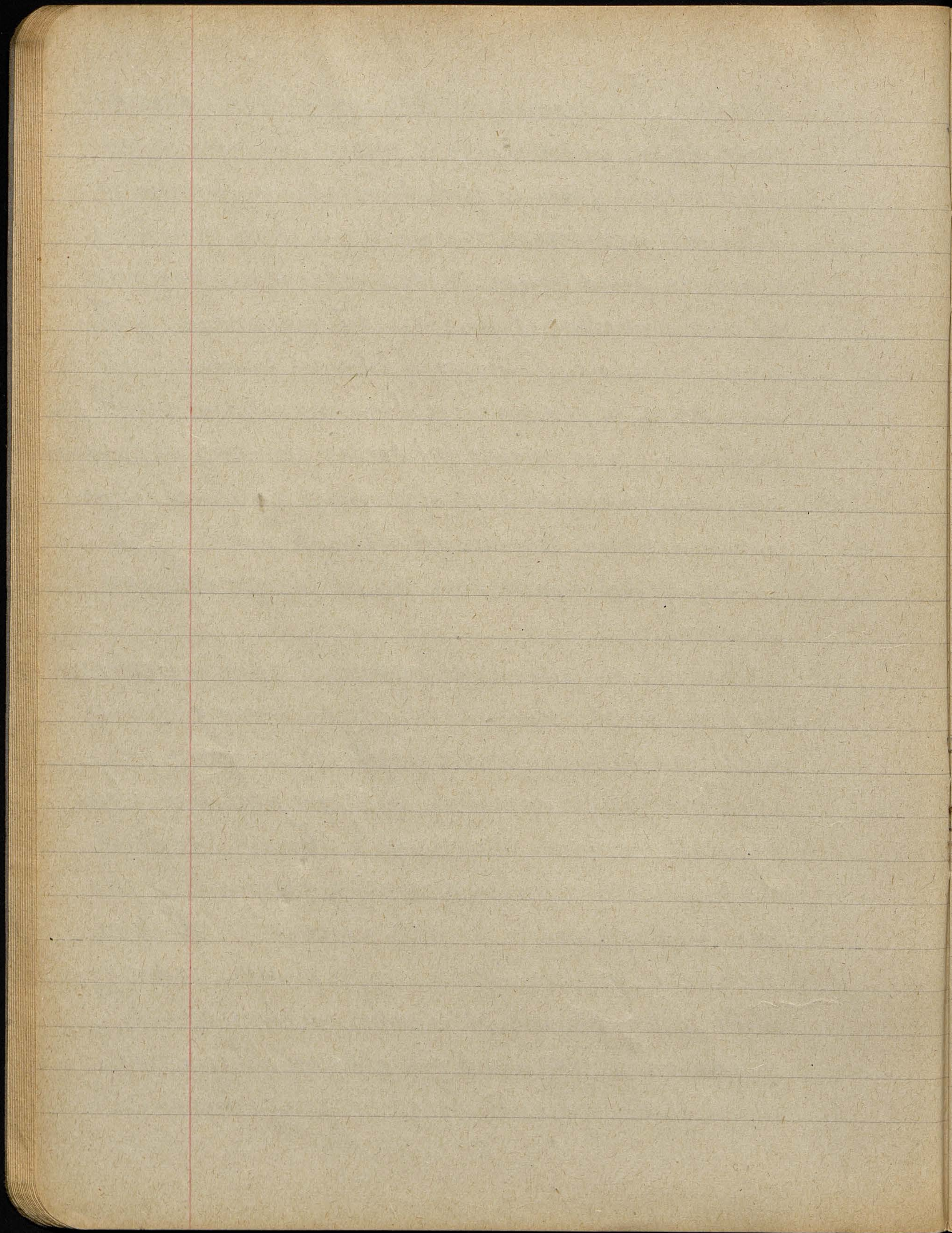
– To się jutro pokaże – odrzekł ten pan – a teraz, do więzienia z nim.

Zajechaliśmy przed wskazany budynek. Nad zamkniętą bramą na czarnej tablicy białemi literami przeświecał do latarni napis: „K. u. K. Feldarrest." Żandarm zapukał gwałtownie do bramy, która się natychmiast



otwarta i jakiś przerażony żołnierz, gestykulując po żydowsku, zaczął psykać i szeptać, aby się uciszyć. Dlaczego? Bo pan cugsfirer śpi, a gdyby się go obudziło, będzie się strasznie gniewał. I po tej wystraszonej odpowiedzi już chciał nam drzwi zamknąć przed nosem, kiedy żandarm wepchnął mnie do sieni i wszedłszy za mną, zażądał widzenia się z przełożonym więzienia. Nastraszony żołnierz tłumaczył, że to niemożliwe, że pan cugsfirer stanowczo zabronił niepokojenia swego snu i że w gniewie jest bardzo straszny, ale żandarm użył swej wachmistrzowskiej przewagi i nakazał iść po pana cugsfirera. Biedny żołnierzysko puścił się na schody, gestykulując rozpaczliwie, jak gdyby mówił sam do siebie.

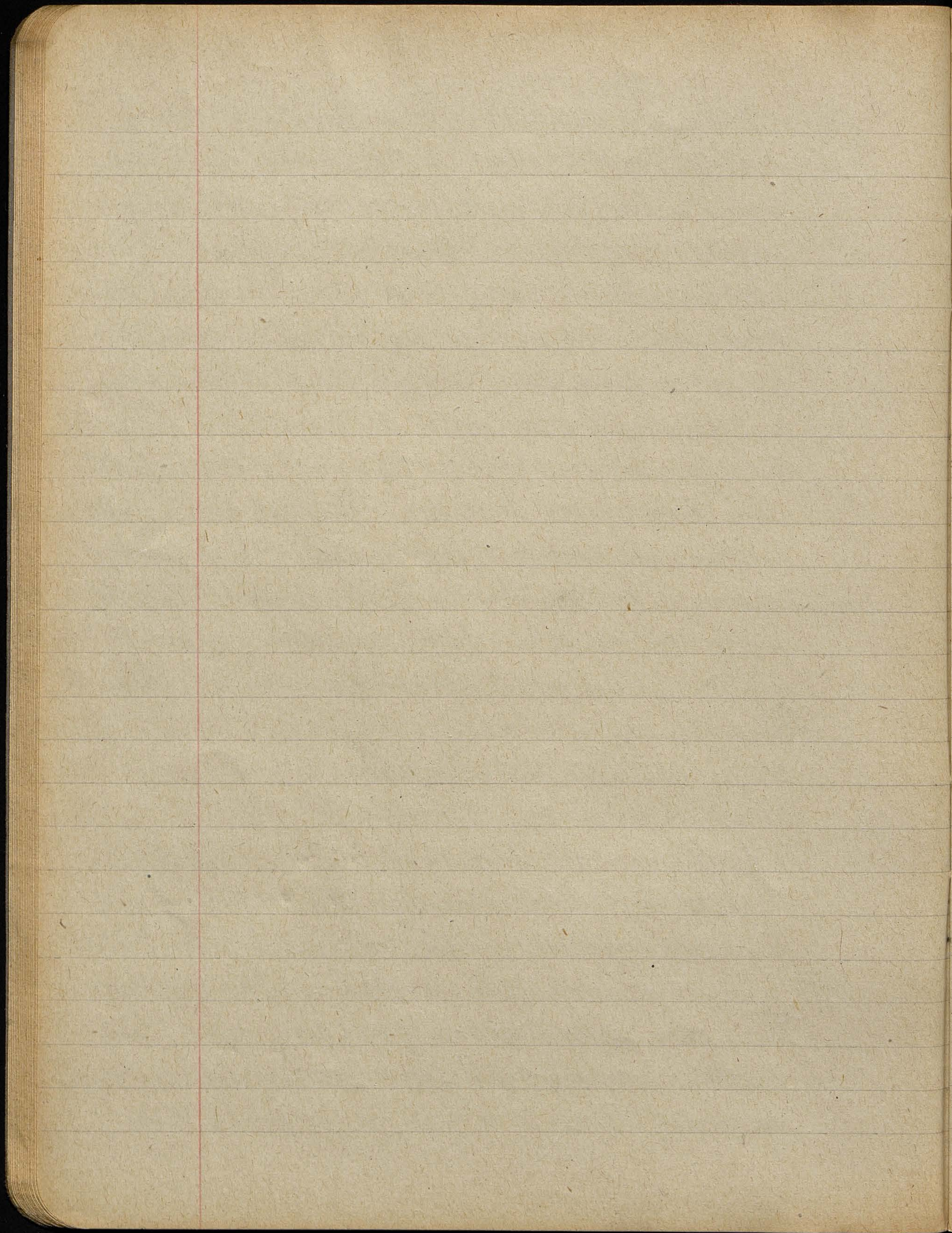
Sień była oświetlona elektrycznie, a w pokoju frontowym na prawo znajdował się odwach. Wśród kurzu dymnego widać było kilku żołnierzy pogotowia, ubranych jak żebraki w zużyte mundury, mających parciane szlejki zamiast rzemieni. W niezwykle długim korytarzu chodził błędnym krokiem żołnierz, zbrojny w karabin przestarzałego modelu Werndla z niezwykle długim bagnetem „na sztorc." Ubrany był w płaszcz brudno wypłowiały, przepasany parcianką, na której wisiały przedwieczne ładownice z popękanej skóry. Mnóstwo drzwi tkwiło w ścianie korytarza, przypominając klasztor.



Po dłuższym czasie dało się słyszeć powolne stąpanie po schodach. Okazał się żołnierz drobny, niestary, chudy z jasnymi wąsami, w trzewikach niezasznurowanych i zstępował powoli, ~~przystaj~~ tylko jedną nogą naprzód, czyli przystawał na każdym schodzie, rzucając w naszą stronę spojrzenia groźne i zdumione. Wobec wachmistrza nie wybuchnął jednak gniewem. Oświadczył po niemiecku, że więźniów przyjmuje się tylko w dzień, że więc w nocy powinniśmy się stąd wynieść i nie zamącać spokoju więziennego. Żandarm tłumaczył opóźnienie rozkładem jazdy kolejowej, nalegał, a wreszcie zagroził, że mnie zabierze z powrotem do Białej i zda raport, iż mnie przyjąć niechciano. Groźba poskutkowała. Pan cugsfirer Alois Matzke zaprowadził nas do kancelaryi, podpisał żandarmowi papiery i przejął pakiet. Żandarm, zadowolony, że tak się skończyło, szepnął mi na ucho:

— Bogu dzięki, że nie było komu przeglądać corpora delicti — i wyniósł się.

Zostałem sam z klucznikiem. Wziął moją walizkę i zażądał kluczów. Potem kazał mi ~~otwo~~ przetrząsnąć wszystkie kieszenie i zabrał ich zawartość, jak scyzoryk, zegarek, ołówek, notes, portfel, portmonetkę itd. Przeliczyliśmy też pieniądze. Na wszystkie zabrane przedmioty i na pieniądze wystawił kwitek, poczem zawołał służbowego żołnierza i kazał mnie zaprowadzić do celi № 40. Była na dole tuż za drzwiami



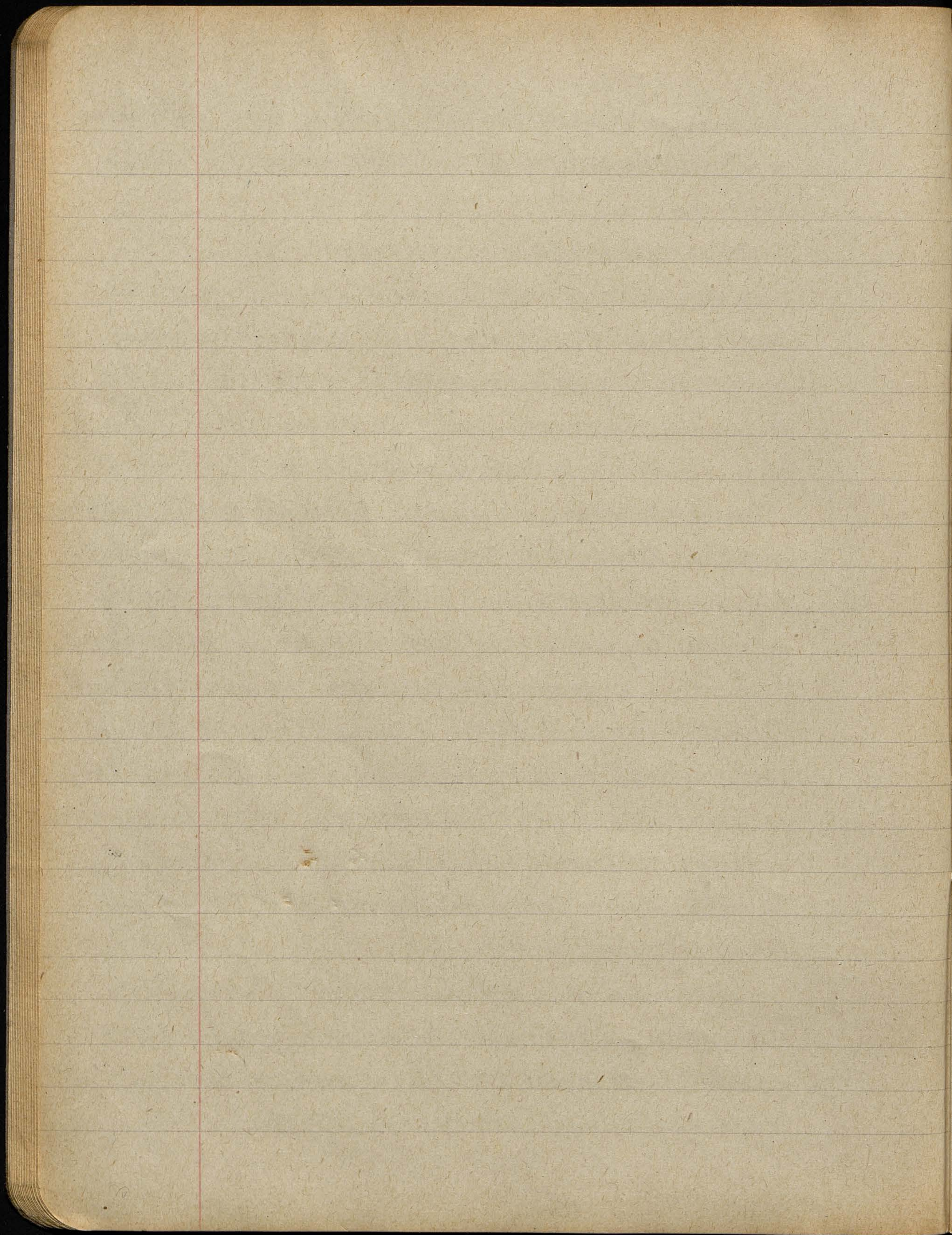
prowadzącemi na dziedziniec. Służbowy zgrzytnął kluczem w potwornym zamku, wpuścił mnie do celi i z łoskotem zatrzasnął.

Teraz jestem naprawdę aresztowany.

Celka miała ze trzy metry szerokości, a z pięć długości i była bardzo wysoka, oświetlona na suficie mocno zakratowaną lampką elektryczną. Naprzeciw drzwi, w wysokości może 2½ metra było okno kwadratowe o matowych szybach, które przy świetle dawały blask rzecznego lodu.

~~Urzędz~~ Gdy Korpus Krakowski zabierał ostrawskiemu rządowi więzienie, dobudowywano właśnie to skrzydło, w którem byłem umieszczony. Surowe mury miały przestać ~~be~~ zimę bez wyprawy, gdy nagłe zapotrzebowanie kazało mimo zimna pospiesznie wykończyć pomieszczenie dla bardzo licznych spodziewanych gości. Ściany świeżo otynkowane świeciły więc wilgocią i roznosiły szczypiącą woń świeżyzny. Podłoga dopiero co ułożona połyskiwała kolorem białym lub żywicowym świeżego heblowania. Byłem pierwszym lokatorem owego przybytku, pierwszy też miałem wydeptywać niedotknięte ludzką stopą deski podłogi.

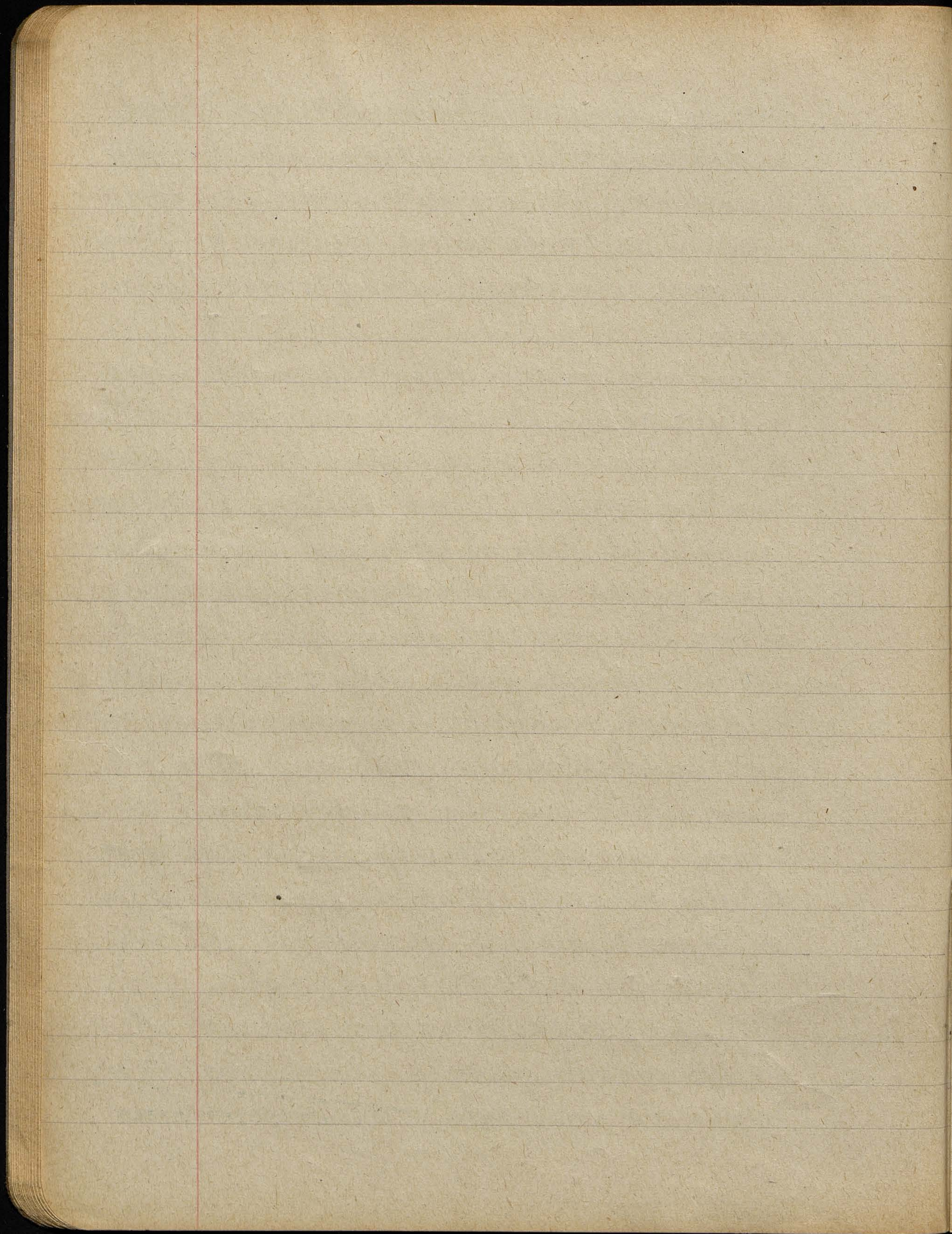
Rozejrzałem się za urządzeniem. Przedewszystkiem uderzyły mnie dwa ogromne sienniki, ułożone jeden na drugim. Ich płótno, sporządzone z nieznanego mi materyału, wyglądało jak pomalowane jakąś zielonkawą masą,



niby farbę, sporządzoną z liści konopi. Wydawało to mdły, wymiotowy zapach. Obok siennika niewielki stolik, ~~żółto~~ biało malowany, przy nim taki sam stołek, na którym stała niewielka miedniczka blaszana, emaliowana biało w środku i niebiesko na zewnątrz. W miednicy taki sam dzbanek z wodą.

Imponujące były drzwi. Małe, o jednej wierzei, oprawne w żelazną framugę, ale grube może więcej niż 20 cm. Grubość tę można było osądzić po wzierniku, czyli okrągłej dziurze zaszklonej, przez którą żołnierz, strażujący na korytarzu zaglądał do celi. Wziernik ku wnętrzu rozszerzał się lejkowato, a ściana jego obita była blaszanym płaszczem, czerwonym od rdzy. Rogi drzwi okute i pełno główek półkulistych od gwoździ, wielkości guzika artyleryjskiego, również zardzewiałych i sączących krople czerwone po świeżem drewnie. Gwoździe ~~obok~~ szlakiem swojem znaczyły kilka linii – ~~widocz~~ naprzód ramę okolną, potem trzy szeregi sztab, tworzących zewnątrz trzy zawiasy, wreszcie czworo~~gran~~kątne kontakty zamka. Od wnętrza wyglądało to ułożenie główek gwoździ wzorzysto, ale wskazywało, jakie masy żelaziwa umacniają te drzwiczki od zewnątrz.

W obu kątach przy drzwiach czarne przedmioty – klozet czarno malowany z jednej i blaszany płaszcz dla odosobnienia żelaznego piecyka z drugiej strony. W piecu



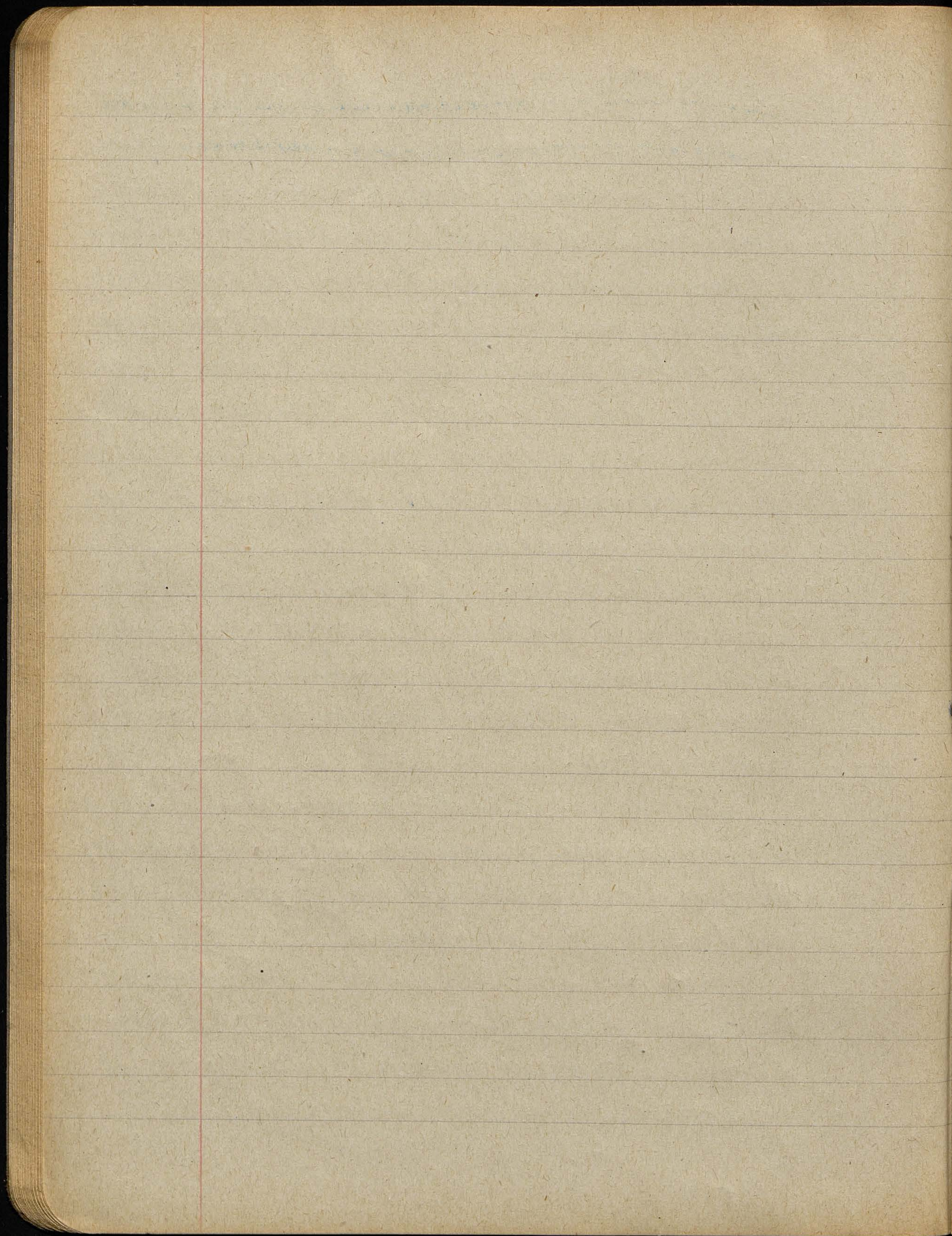
palić można z korytarza, bo od wnętrza przystępu nie ma. Wszystko okrągłe i gładkie tak, ażeby w celi nie było żadnego wystającego przedmiotu, któryby więźniowi mógł ułatwić samobójstwo. Nawet przyrząd do puszczania wody w klozecie był okrągłym guzikiem, nie wystającym nad powierzchnię ściany, który naciskało się palcem w głąb, ażeby funkcyonował.

Tak wyglądał skrupulatnie zestawiony inwentarz przedmiotów w tej celi. Było dla mnie szczęściem, że dostałem się do nowej części więzienia, bo urządzenie było nowożytne (np. klozet), ale było też i nieszczęściem, bo jako cierpiący na artrytyzm, jestem bardzo czuły na wilgoć.

Cela nie była opalona, więc gdym wszedł, zimna wilgoć przejęła mnie odrazu do kości, a nieznośna woń świeżego tynku, pomieszana z mdłym zapachem sienników i jeszcze bardziej mdlącym fetorem czarnej farby na klozecie, zawierciła w nosie.

Jestem więc w więzieniu. Nie! To niepodobna! To albo sen, albo jakaś pomyłka – ja i więzienie. Za co? Za jakąś sprawę polityczną. A w takim razie tytuł urzędowy jo mój jest więzień stanu. Nie! Jasiu! Nie udawaj.

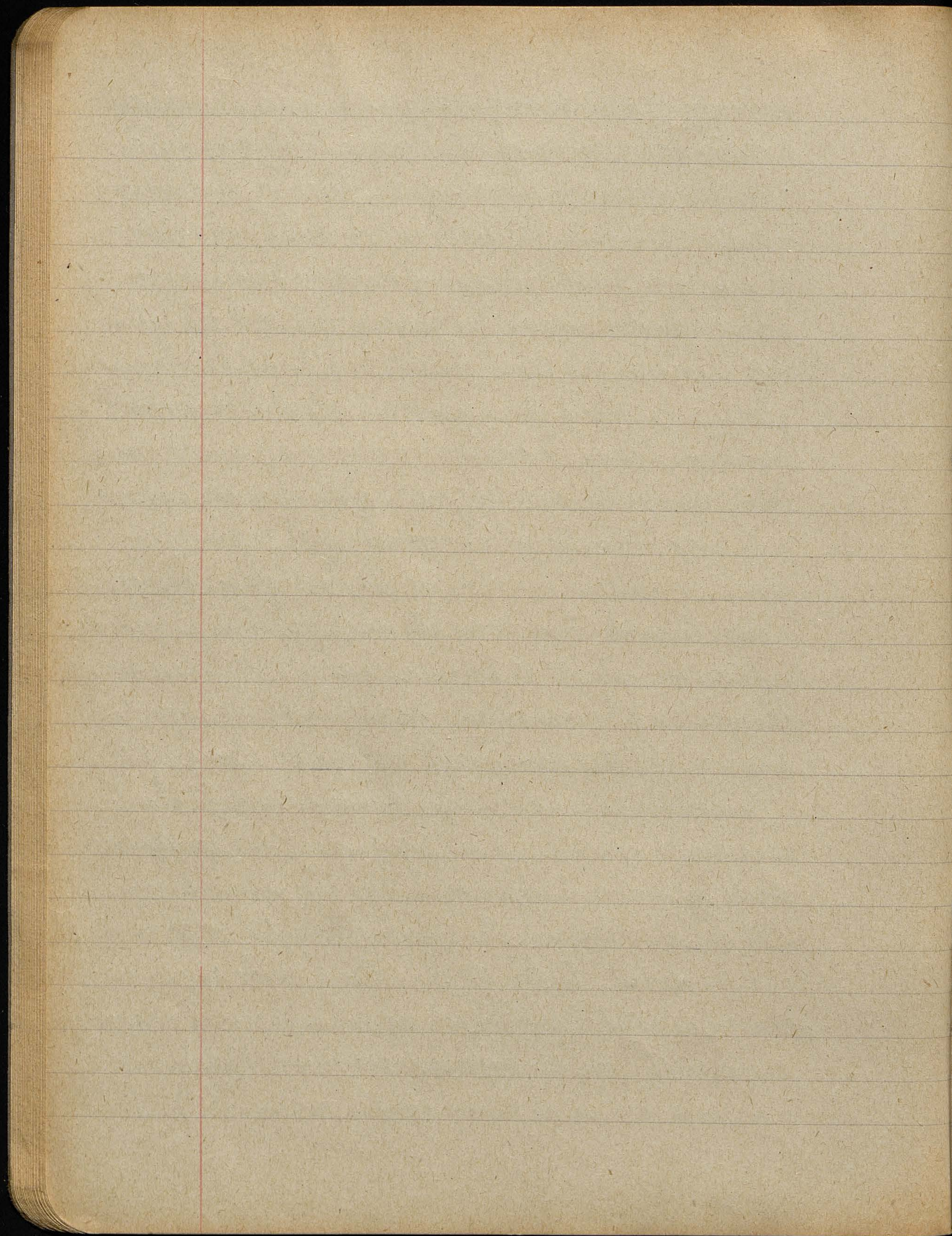
W dzieciństwie nawykłem do takiego bezdennego szacunku dla tych nieboszczyków, którym na klepsydrach drukowano w Rzeszowie „były więzień stanu,” że ten tytuł wydał mi się zbyt uroczystym dla mojej osoby. Nie brałem nigdy sam



siebie ani tragicznie ani uroczyście i śmiać mi się chciało z siebie, gdym sobie przydał ten majestatyczny tytuł.

Byłem wprawdzie zmęczony, ale chciałem się rozejrzeć w mojem położeniu. Zacząłem więc chodzić i wyliczyłem, że od wgłębienia drzwi aż do ściany okiennej zrobić mogę drobnych kroków siedem, lub zwyczajnych sześć. Nie było to więc chodzenie, lecz raczej kręcenie się w kółko. Żołnierz zaglądał z korytarza przez wziernik, ale chociaż przepisy więzienne mówią, że o dziewiątej wszyscy więźniowie muszą leżeć, nie upominał mnie przez szybkę. Może mu imponowało moje krymskie futro i krymska czapka podolska na głowie; może miał współczucie dla nieobytego nowicjusza; a może też widział we mnie skazańca, bo jak się później dowiedziałem, cela Nr. 40 przeznaczona była dla skazańców, których tam przeprowadzano po zatwierdzeniu wyroku śmierci, aby stąd wieść prosto na miejsce stracenia.

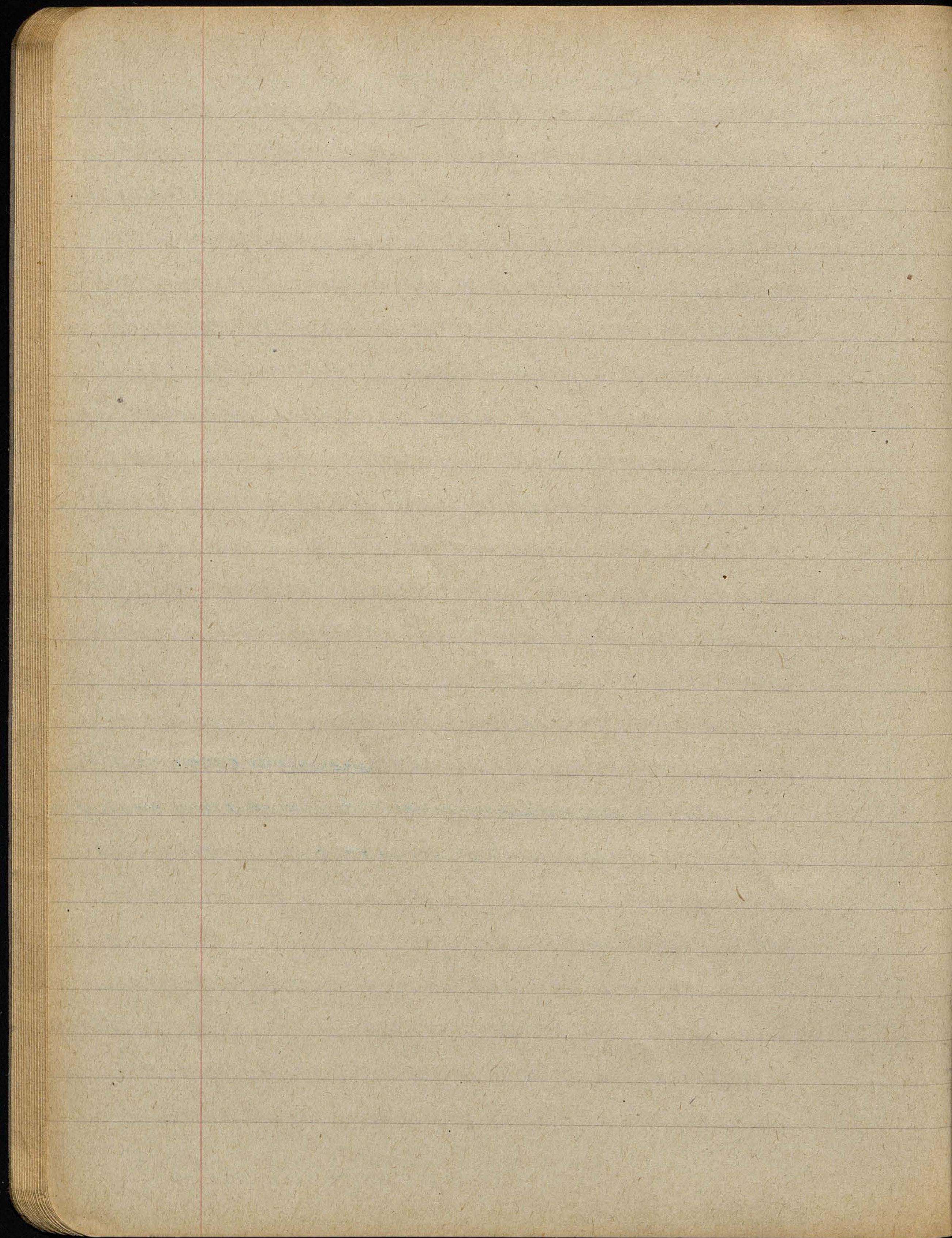
Ciekawym co mi zarzucają? Wiedziałem, że od chwili zawieszenia Konstytucyi nie popełniłem nic karygodnego wedle rozporządzeń wojennych. Dwie więc są możliwości. Albo mi dawniejsze słowa zechcą poczytać za zbrodnię i za nie osądzić, albo też ci sami, którzy mnie ścigali swoją mściwością dotąd, zmyślili coś na mnie. Pierwsze przypuszczenie wydało mi się nieprawdopodobnem. Wprawdzie w Austryi nikt się na prawo oglądać nie myśli, to też



darcemną będzie moja obrona, że przedwojenne moje artykuły należą przed sąd przysięgłych i że współwinni ze mną są prokuratorowie, którzy tych artykułów nie konfiskowali i mnie nie wytaczali procesów prasowych – to w Austryi nie pomoże. Tylko, gdyby mi za to chciano skręcić kark, to należałoby to uczynić ze wszystkimi moimi kolegami partyjnymi, między którymi jest austryacki rzeczywisty tajny radca. Tego skandalu może bestya germańska nie zechce popełnić, aby wobec Europy uśmiercić własną austryacką Ekscellencyę. Chyba tak są pewni zwycięztwa nad Francyą, za którem idzie zwycięztwo nad Rosyą, że drwić będą ze skandalów i wstydu, byleby nikogo z nas nawet na rozpłodek nie postawić. Aby to przypuścić, muszę zaczekać, czy innych moich kolegów zaaresztują.

Prawdopodobniejsze jest zatem drugie przypuszczenie. Znaleźć dwóch fałszywych świadków, co zaprzysięgną wszystko, nie trudno w tem nikczemnem państwie. Kto więc mógł wnieść na mnie kłamliwą denuncyacyę? Albo tymczasowiacy, albo Niemcy z Bielska. Oba gatunki równie podłe i zdatne do wszystkiego.

A w takim razie czeka mnie śmierć niechybna. Jak się to robi taka śmierć? W każdym razie to coś brzydkiego. W tym wypadku byłbym męczennikiem sprawy. Nie! Jasiu! nie udawaj. Jesteś poczciwy chłop, ale ranga mę-

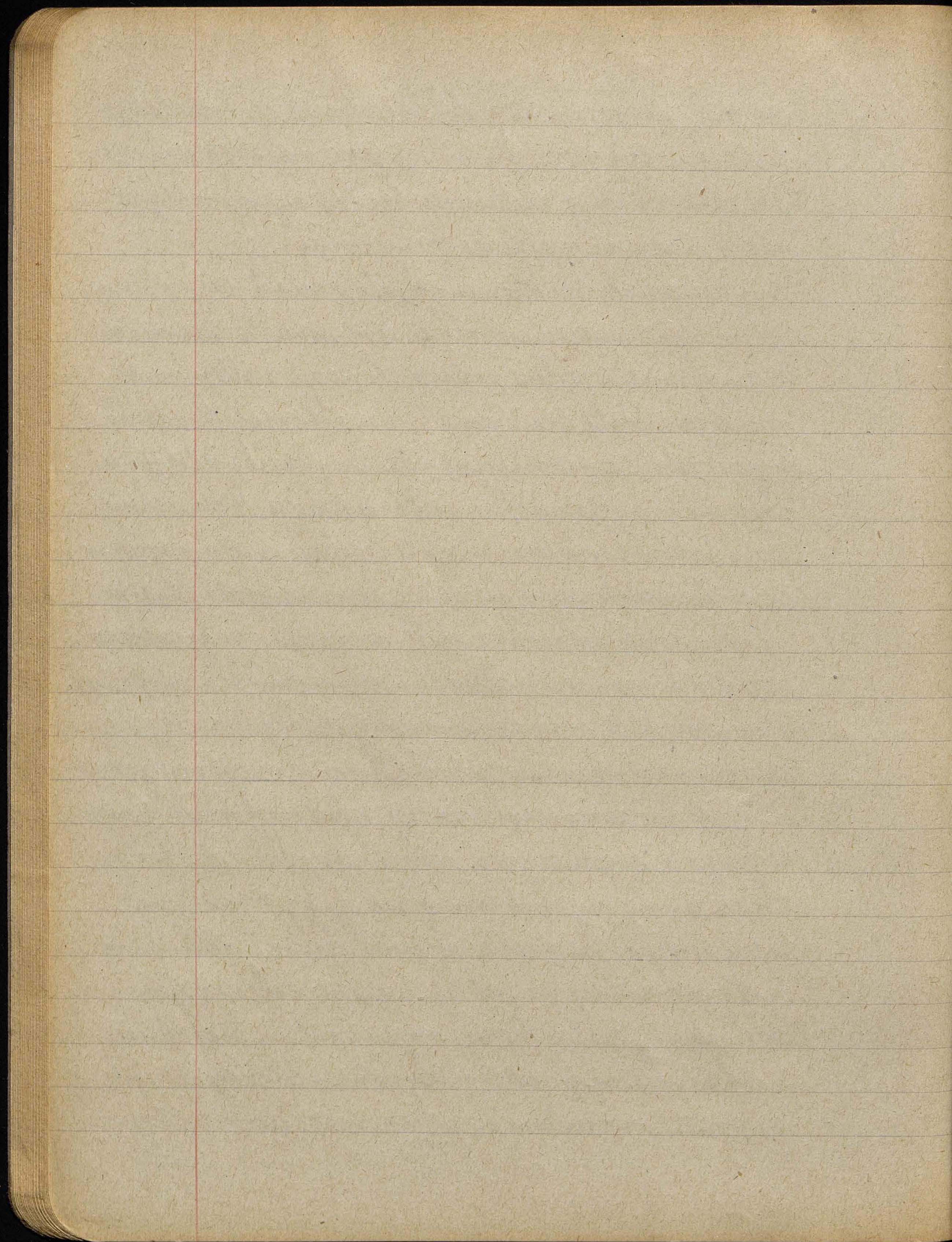


czennika za wysoka na ciebie. Męczennik się rodzi tak jak poeta – a żaden kancelista nie był jeszcze Szekspirem przez przypadkowy zbieg okoliczności, zaszłych w późniejszym wieku, kiedy już zapadł na hemoroidy.

Męczennik, nie męczennik, ale śmierć prawie pewna. Gdyby tego zamiaru nie mieli, toby mnie nie aresztowali. W każdym razie jestem posłem i to dosyć osobliwym, bo mam mandaty krańcowe: Zbaraż i Żywiec. Wiadomo, że przez robotę organizacyjną i dziennikarską zdobyłem sobie imię najgłośniejsze po Daszyńskim, Głąbińskim, Stapińskim i Breiterze (niestety w Galicyi rozgłos przyczepia się do tak niedobranych nazwisk) – zaczem zastanowiono się dobrze, co się ma zemną stać, nim mnie zaaresztowano. Pomyłki tu niema. Aresztować i potem puszczać mogą tysiące innych. U mnie zastanowiono się nad tem, żeby daremnego skandalu nie robić, żeby się nie skompromitować lub nie ośmieszyć i kiedy mnie osadzono w więzieniu, to już po to, abym z niego cały nie uszedł.

Zobaczymy, czy choć formy zachowają ze mną, czy będzie śledztwo, rozprawa, możność obrony! Bo w Austryi metternichowskiej nie jest wykluczone ukręcenie łba człowiekowi po cichu, tajnie, aby się nikt nie dowiedział.

Nie doszedłszy do żadnego wyniku, zacisnąłem czapkę na głowie, przykryłem się futrem i zasnąłem na siennikach.

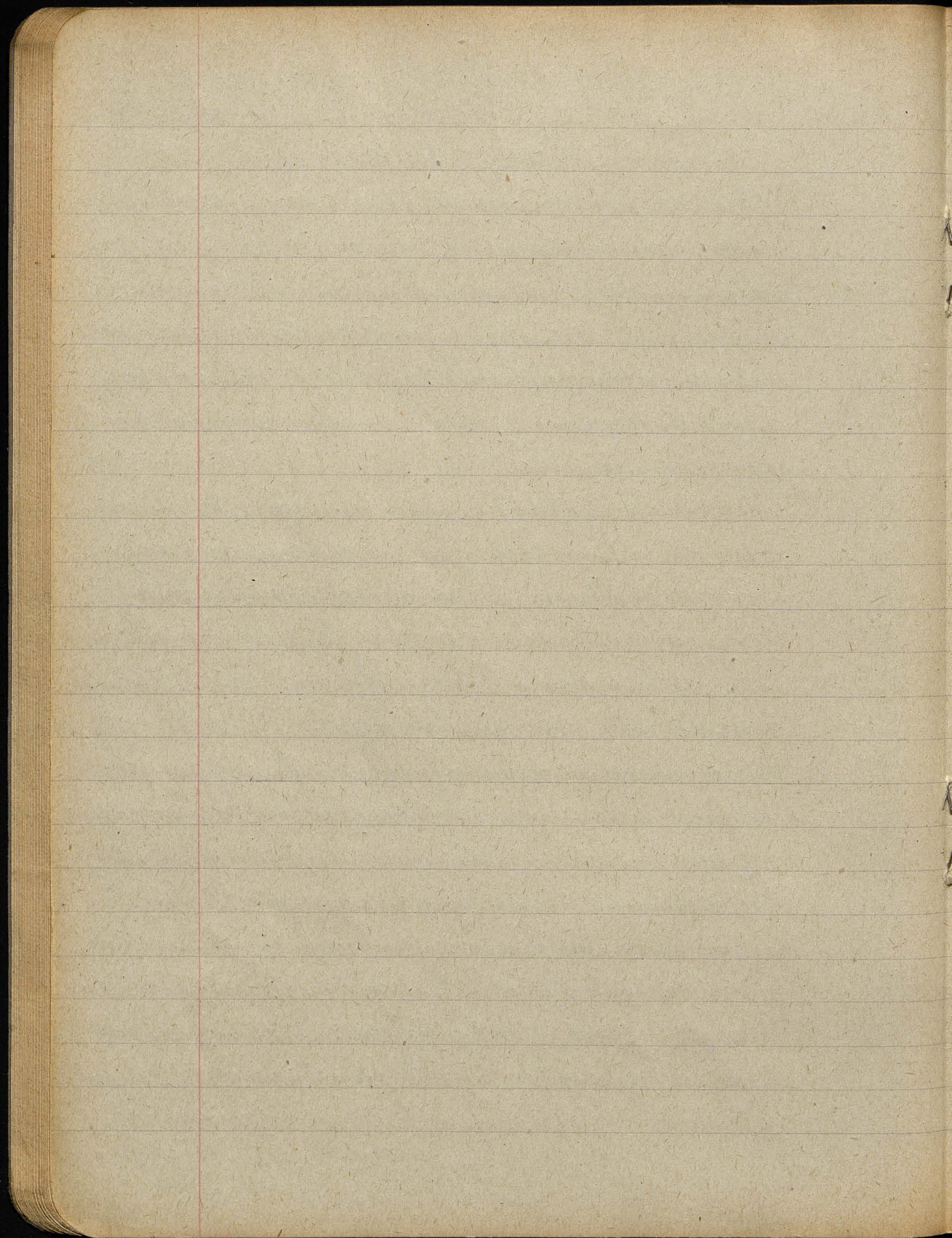


Pierwsze dni więzienia.

Obudziłem się bardzo wcześnie, a że nie mogłem odgadnąć godziny, zwlokłem się z pościeli. Ciało było obrzękłe i mózg jakoby obolały i spowity. Widziałem w tem zapowiedź kataru i bólów reumatycznych. Zimno było przenikliwe, więc o zrzuceniu czapki i futra nie podobna było myśleć. Zziębłe nogi nakazywały przechadzkę dla rozgrzania się. Światło na suficie nie gasło przez całą noc, więc było widno.

Spróbowałem umyć się bez mydła i bez ręcznika, bo bielizna została w kancelaryi. Skończyło się na zaczernieniu twarzy, rąk i obu chusteczek, które mi zastępowały ręcznik. W Morawskiej Ostrawie całe powietrze jest przesycone pyłkiem węglowym, który wciska się wszędzie i brudzi wszystko. Zwilżona miednica stała się też popielato czarną.

Wnet rozpoczął się ruch i bieganie po korytarzu, połączone z krzykiem nieodzownym w armii austryackiej. Widocznie budzono więźniów. Po niejakim czasie zgrzytnęły drzwi mojej celi i za cugsfirerem otwierającym wszedł żołnierz, który postawił mi na stole blaszankę i bochenek komisnego chleba, poczem obaj wyszli, a drzwi zatrzaśnięto z ogromnym łoskotem. Blaszanka bez ucha, szersza u góry niż u podstawy, widocznie nigdy nie czyszczona, miała kolor brunatno czarny, zastępujący rdzę w cynkowych naczyniach. Zawierała może pół litra



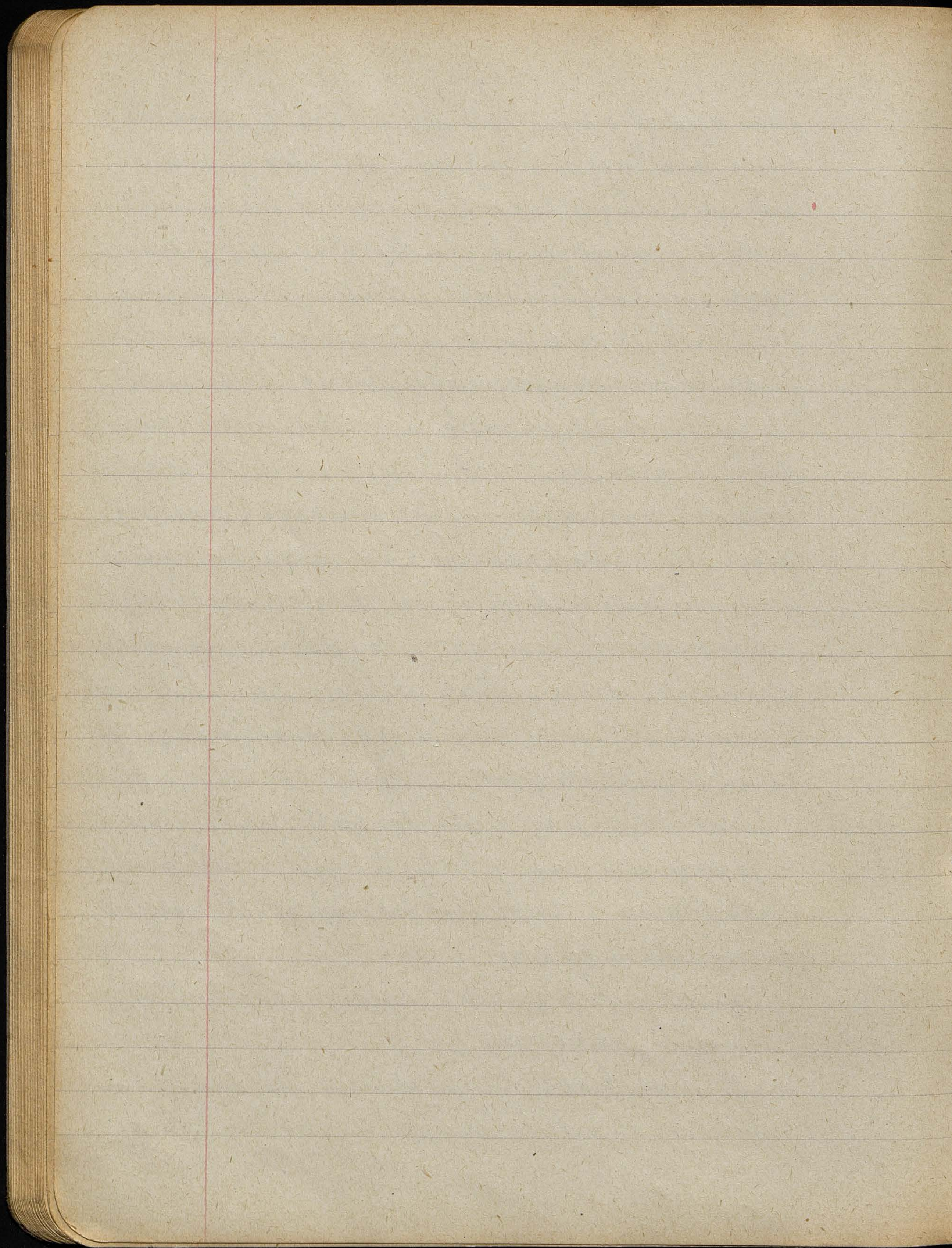
płynu czarnego o brunatnym odcieniu. Ach! to żołnierska czarna Kawa. Dosyć długo myślałem, co to może być, zanim zrobiłem to odkrycie. ~~Cała to~~ Widocznie jest to moje śniadanie. Bardzo to grzecznie jednak z ich strony, że mnie głodem nie morzą. A mogliby, gdyby chcieli i pies kulawy nie zapytałby się o mnie. Ale jak się dobrać do chleba? Noża nie mam, a tu przedemną ciemno czerwonawy podłużny „komiśniak", którego spróchniałemi zębami nie zmogę. Próbowałem złamać w rękach, ale się oparł. Pomyślawszy chwilę, położyłem bochenek połową na brzegu stołu i nacisnąwszy zwisającą połowę całym ~~ciałem~~, ~~naciskiem~~ ciężarem ciała, złamałem na dwoje. A więc można się obejść bez noża. Chleb był jęczmienny gorzki, z jakąś kwaskowatą domieszką, może żyta, może ziemniaków. Kawa niedosłodzona cuchnęła jakoby zapachem odestu szczypiącym. Ale ostatecznie coś ciepłego na rano było dla „odrażenia" wnętrzności, a to grunt.

I znowu kręciłem się po celce, bez myśli, jakoby jeszcze nie ze wszystkiem ocucony. Długo to trwało, wreszcie światło zaczęło żółknieć, a czarne okno nabierać połysku wody. Na dworze musiało być rano.

Naraz zgrzytnął zamek i cugsfirer zawołał:

– Zamorski in die Kanzlei!

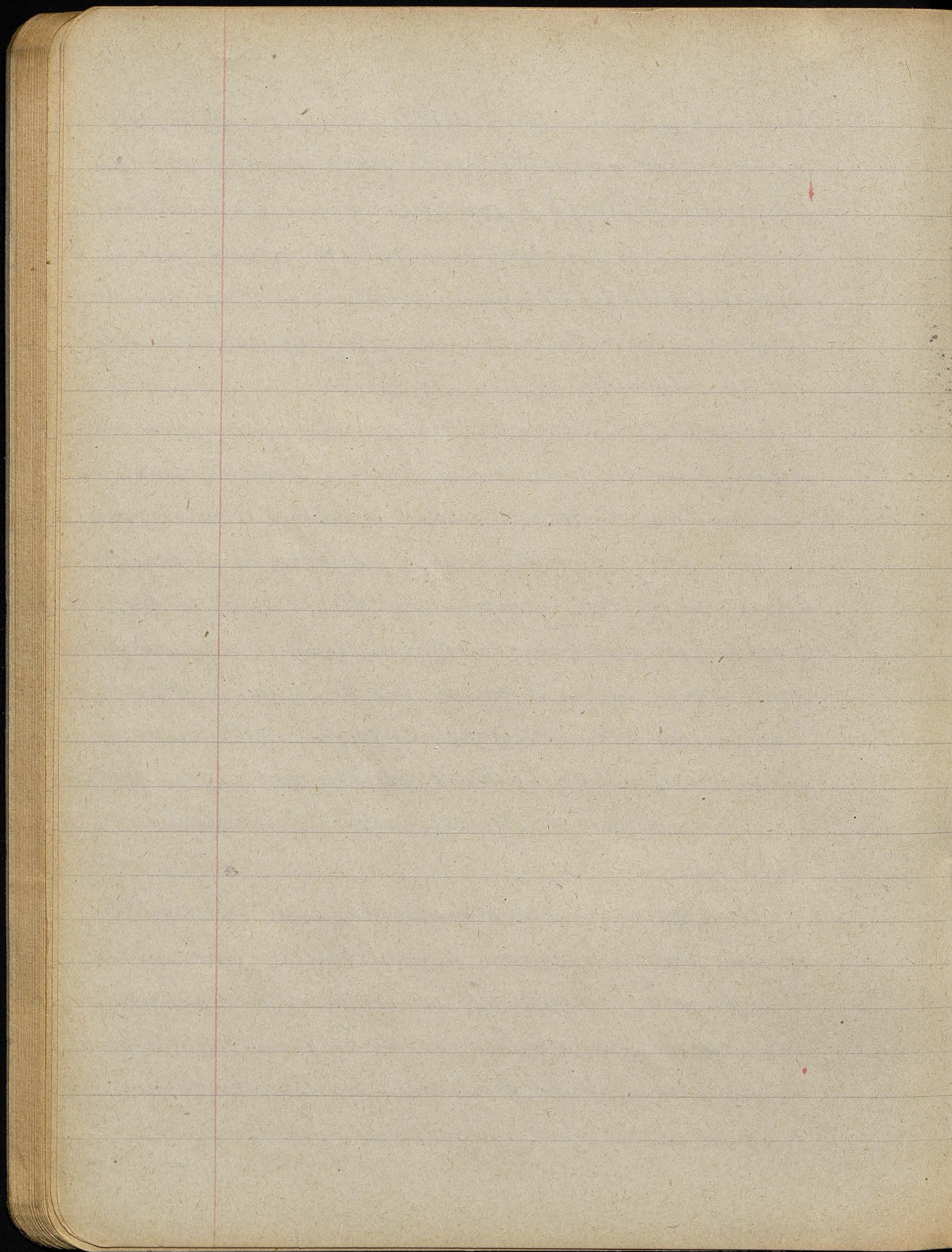
Do Kata! Szybko to idzie. Już mi odebrano wszystkie tytuły, pochodzące czy z wyborów czy z nominacyi. Dla lepszego



~~zrobienia~~ zrozumienia tego zadziwienia, trzeba pamiętać, że język niemiecki nie znosi poprostu gołego nazwiska, ale że tytuł jakiś, bodaj: Häftling (więzień) powinien je poprzedzać. Musiało mnie więc uderzyć owo odarcie ze wszystkich godności tem więcej, iż więzień, będący pod śledztwem, nie traci ich aż do wyroku. Należało mi się zatem wedle ducha niemczyzny przynajmniej zawołanie: Herr Zamorski.

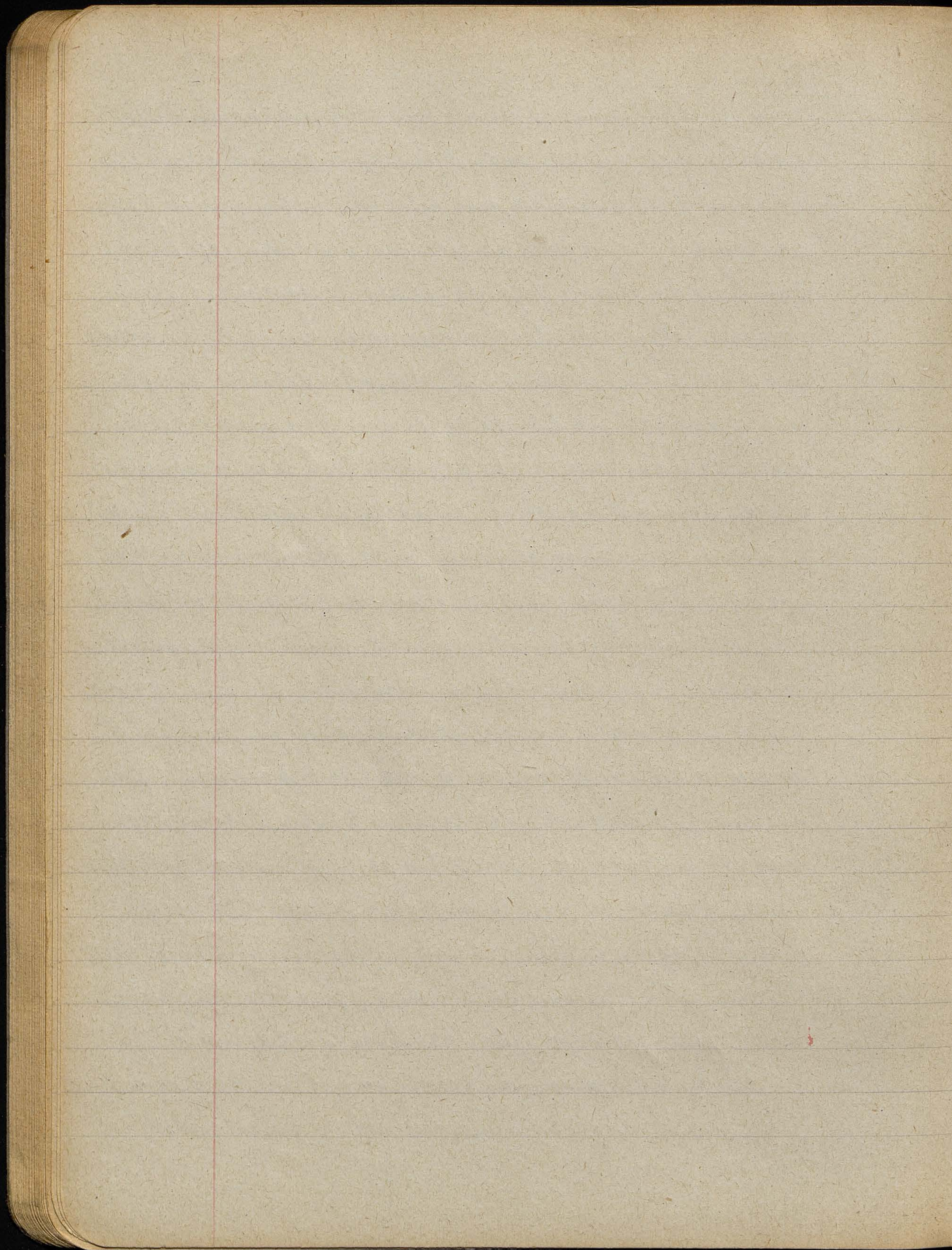
Zaszedłem do tej samej kancelaryi, w której przyjmował mnie Matzke. Teraz była pełna. Przy dwóch stołach siedziało może dziesięciu żołnierzy bez broni i czapek, a każdy z piórem w ręku coś pilnie pisał. Byli i szeregowcy i podoficerzy. Za głównym stołem siedział jakiś jegomość, sam jeden w czapce, czarnej, oficerskiej, ale ~~z obszywką jedwabną nie złotą~~ ze sznurkiem jedwabnym nie złotym. A więc nie oficer. Przypominał woźnego lub listonosza. Na kołnierzu mundurowym miał odznaki feldwebla. Zaczem był gatunkiem przejściowym między oficerem a podoficerem (w Austryi są to dwa światy nieprzekraczalnie oddzielne).

W tem, że sam jeden miał czapkę na głowie i że tak jakoś był siebie pewny, tak panował, a nawet baszował między wszystkimi, było coś tak uderzającego, żem się mu nie mógł napatrzeć. Twarz raczej ładną i regularną zdobiły ogromne wąsy, wypomadowane w bardzo długie, proste druty po węgiersku. Policzki czerwone od mnóstwa przekrwionych żyłek, dawały mu



pozór młodości, chociaż krzaczyste brwi i wyszmelcowane węży siwawe szpakowacizną. Widać było w nim pewność siebie i zadowolenie z siebie. Nie widziałem tego człowieka nigdy w życiu, a wydawał mi się bardzo dobrze znajomym. Szukałem, kto to może być? Chciałem określić jego stanowisko hierarchiczne, ale nie mogłem. Jakieś echo starej, metternichowskiej Austryi odzywało się w nim. Tytuł: „Archivarius" albo „Mandatarius" byłby do niego przylegał jak dobrana rękawiczka. Ten człowiek był dla mnie zagadką, niespokojącą poprostu. Było w nim coś nieosobowego. Wyglądał na dobrego człowieka, ale tą dobrocią, która się objawia poza służbą przy kuflu piwa, bo w służbie na rozkaz władzy, z tem samem dobrodusznem spojrzeniem niebieskich oczu, będzie torturował, zdzierał skórę, palił wolnym ogniem. To człowiek z gatunku, zwanego „gemütlich", ale mu na imię „służba" i w tej służbie z równą prostotą potrafi być najwymyślniejszym katem. Widziałem w nim ~~ucz~~ uosobienie starej Austryi i pracowałem pamięcią, aby z pism Lozińskiego wyłowić pierwowzór, którego ten pan jest żywym portretem. Inni żołnierze, bez względu na szarżę, mieli wobec niego niespokojną minę psów gończych, wyskakujących na spełnienie rozkazu, lub wypatrujących życzenia z jego oczu. On jeden miał ruchy spokojne, pełne pańskości dorobkiewicza.

Rozmyślania przerwano mi wywołaniem mego nazwiska. Jakiś kapral ściągał ze mnie rodowód do księgi, poczem raz



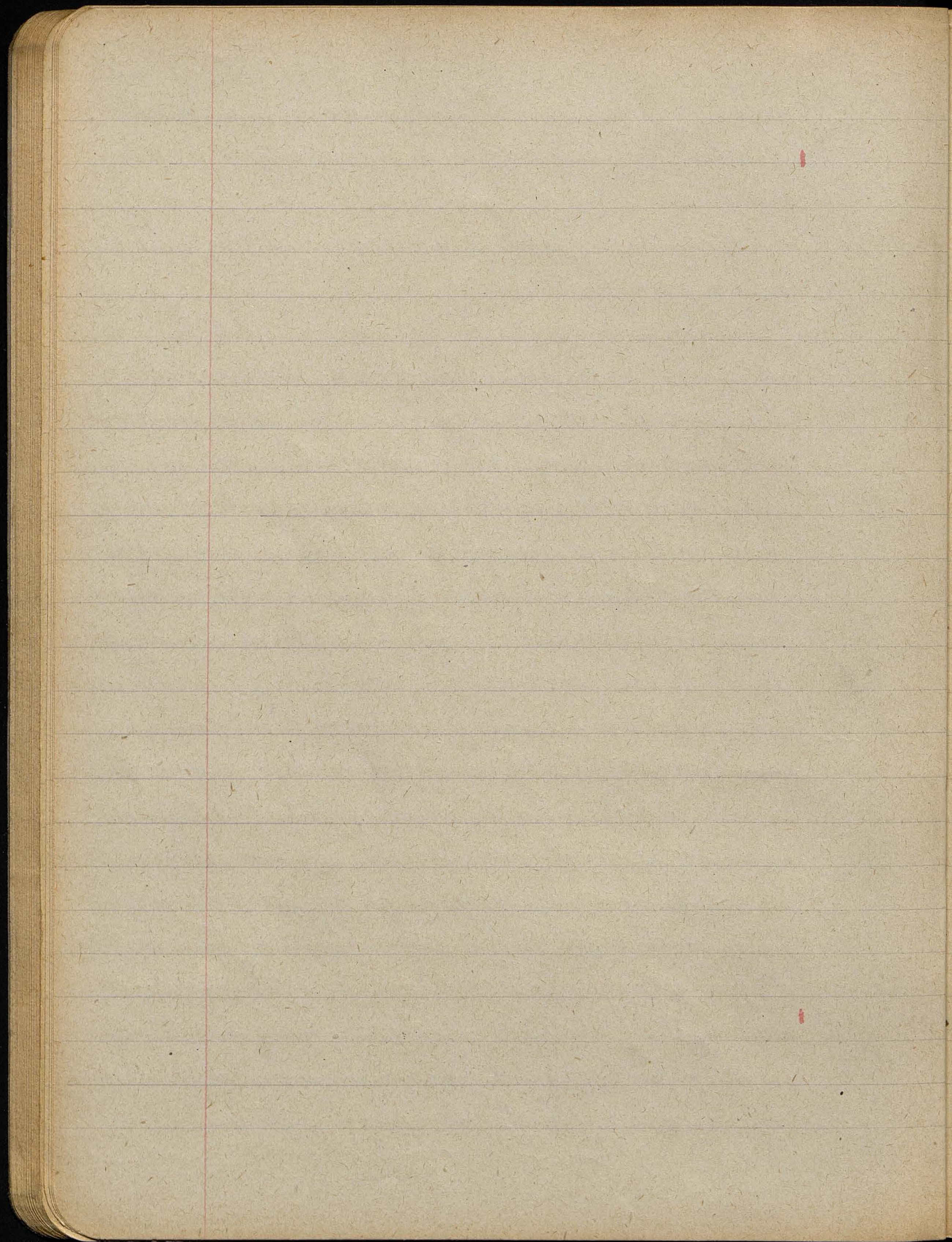
jeszcze przejrzano wszystko, com wczoraj musiał zostawić i zapisano. Zostałem więc już urzędownie wpisany w rejestry więzienia.

Odprowadzany do celi, zapytałem mego klucznika, kto to ten pan w czapce?

— Sztabsprofos.

O Jezus! Więc ta józefińska czy terezyańska godność istnieje jeszcze? Gdy się wszystko zmieniało, profos ten symbol więzienia, kary i dyscypliny przeżył rewolucye, reformy, przemiany i dotrwał czasów Stürgkha, małpującego Metternicha. Chcecie wiedzieć, co Austryę trzyma? System Metternicha we wiedeńskich ministerstwach i więzienie z profosem w armii. To jest nitka, około której skrystalizowało się państwo, to jest jego oś i kamień węgłowy.

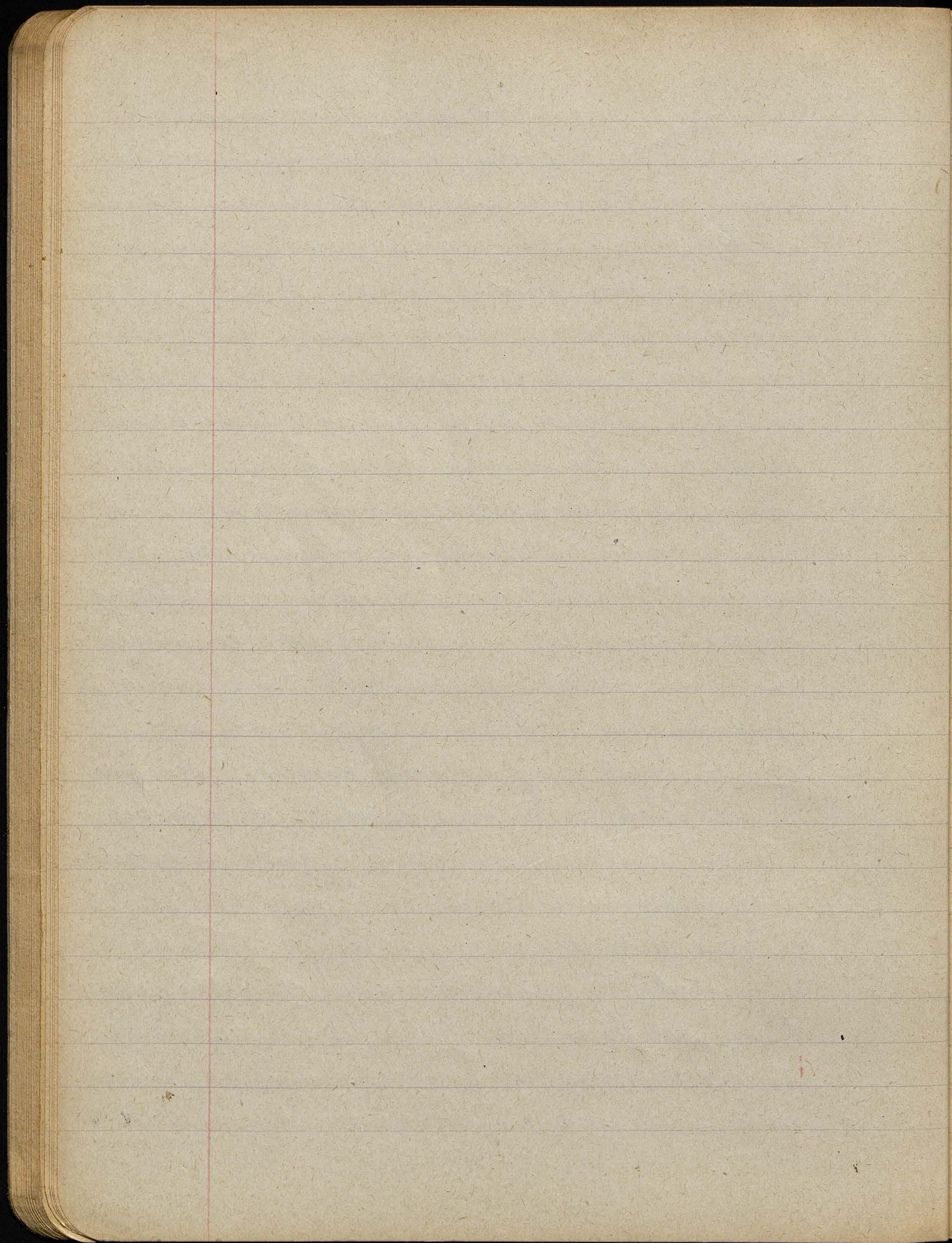
Musiałem sobie przyznać, że odczuwam dobrze Austryę, skoro nieznany ten człowiek uderzył mnie odrazu jako symbol. Jest profos pomocnikiem zarządcy więzienia, którym w Ostrawie był rotmistrz von Kościcki, a ponieważ zarządca nie mieszka w ~~gm~~ budynku, profos jest czynną głową urzędu. Z pomiędzy więźniów dobiera sobie pomocników kancelaryjnych, a ten fakt wyjaśnia, dlaczego ci żołnierze byli bez czapek i dla czego mieli tak służalczo niewolnicze miny. Bo byli między nimi i feldweble, zaledwie jednym stopniem niżsi w hierarchii ~~więziennej~~ wojskowej od sztabsprofosa, ale byli więźniami.



Wracając do celi, zauważyłem, że powietrze jest w niej już zepsute. Tak jednak od razu, jako wychowany w Austryi, wmyśliłem czy wczułem się w rolę nie człowieka, ale rzeczy z pod prawa i względów wyjętej, że nie myślałem nawet o postawieniu pytania, czy wolno spróbować otworzenia okna.

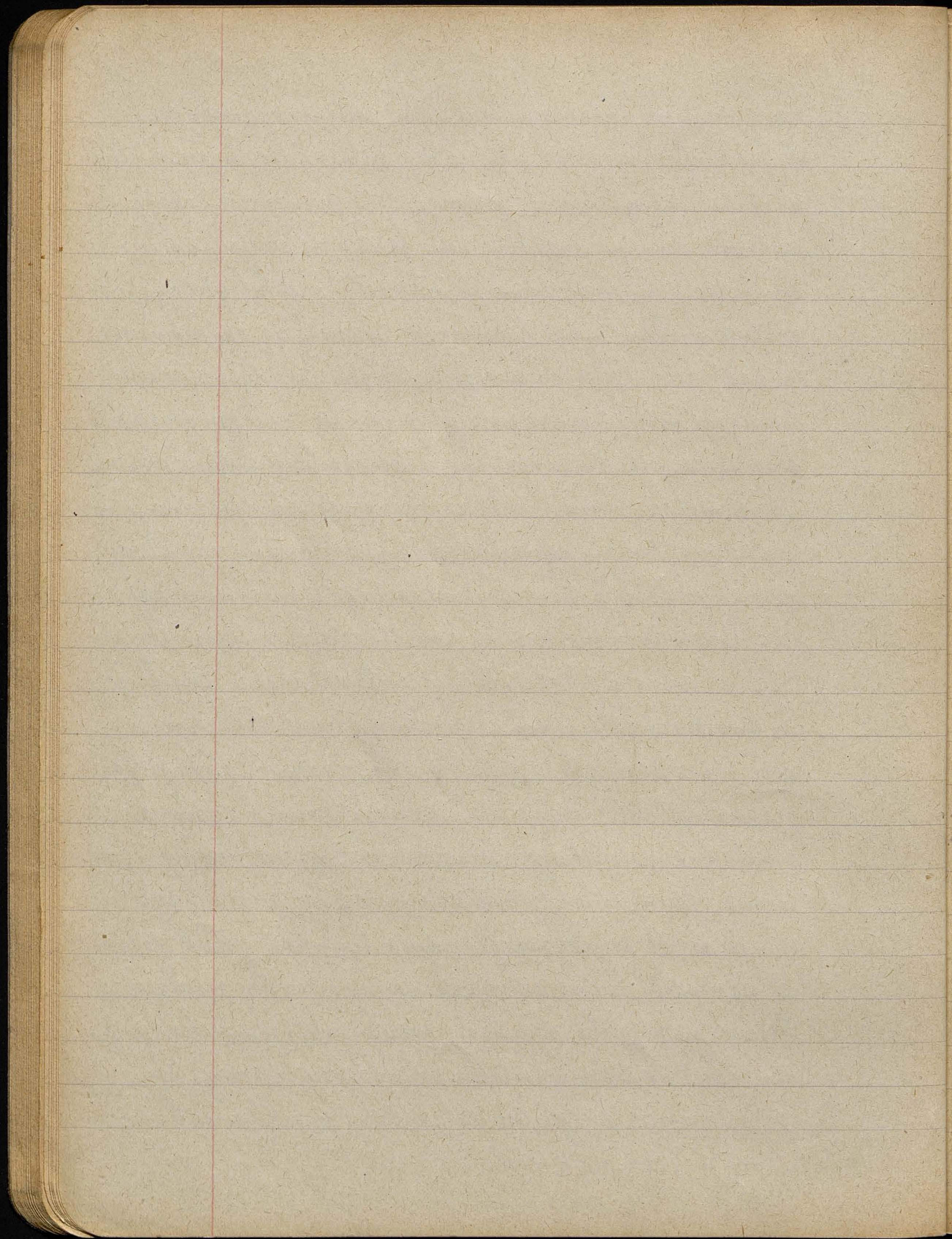
Zacząłem myśleć nieco jaśniej. Że mnie śmierć czeka byłem pewny. I nagle zdjął mnie nieutulony, niewypowiedziany żal za życiem. Nie wiedziałem, że tak silne uczucie może istnieć, albo żem do niego zdolny. Była w tem żalu i rozpacz i strach, ale przedewszystkiem jakiś protest, bunt, jakieś ~~pr~~ bronienie się, któreby można ująć w słowa: „To nie może być." Zdawało mi się, że nie spełniłem jeszcze mojego zadania życiowego i że mi tego zajęcia gwałtownie przerwać nie powinni, bo to będzie zbrodnia wielka. I zaczęły mi napływać do głowy spostrzeżenia, uczynione przed wojną i podczas wojny, uwagi o naszych pomyłkach, błędach, przewinieniach, które powinienbym spisać na naukę pokoleń – z takim trudem to zebrane i miałoby zginąć! To niepodobna, do tego nie powinno się dopuścić.

Byłem przekonany, że mam takie skarby doświadczeń i tyle spostrzeżeń, nie powierzchownych, ale głęboko podpatrujących pobudki działania Polaków, leżące za progiem ich świadomości, iż naprawdę przez moją przyspieszoną śmierć naród poniesie szkodę niepowetowaną. Nie było w tem poczuciu



instynktowem zarozumiałości, tylko coś jakby adwokacka obrona mego życia przed jakimś czynnikiem decydującym, któryby powinien zawyrokować, że mi zginąć nie wolno. I jakoby na dowód, że mam narodowi dużo bardzo do powiedzenia, przychodziły mi coraz nowe przedmioty psychologiczno społeczno polityczne, które gwałt koniecznie wymagają opracowania, bo nikt na nie nie zwrócił uwagi, a dałyby narodowi możność poznania siebie i budowania przyszłości na trwałym gruncie tego poznania. Rozwijały się z pośpiechem tytuły rozpraw, przedmioty rozważań, całe rozdziały rosły w ogromnie przyspieszonem tempie, poprostu błyskawicowo w głowie i ze zdumieniem widziałem, że mogłyby zapełnić tomy i utworzyć całą bibliotekę. Dziwiłem się, żem tej roboty, co dziesiątki lat życia mogłaby zapełnić, nie próbował zacząć dotychczas – ale tembardziej muszę to zaniedbanie naprawić, jestto moim obowiązkiem, długiem wobec ogółu. Było to jakieś jasnowidzenie rzeczywiście ważnych kwestyi i jakieś nieznane mi natchnienie w ich najprzenikliwszem ujmowaniu. Gdyby w takim stanie umysłu można było zabrać się do pełnego wykonania tych pomysłów, dokazałoby się naprawdę bardzo cennych rzeczy o trwałej wartości. Głowa mi płonęła, a w duszę wszedł jakiś niepokój pośpiechu, jakaś potrzeba gwałtownej ruchliwości i pracy, żeby przed śmiercią zrobić ten testament życia. Trzy lata upływają*

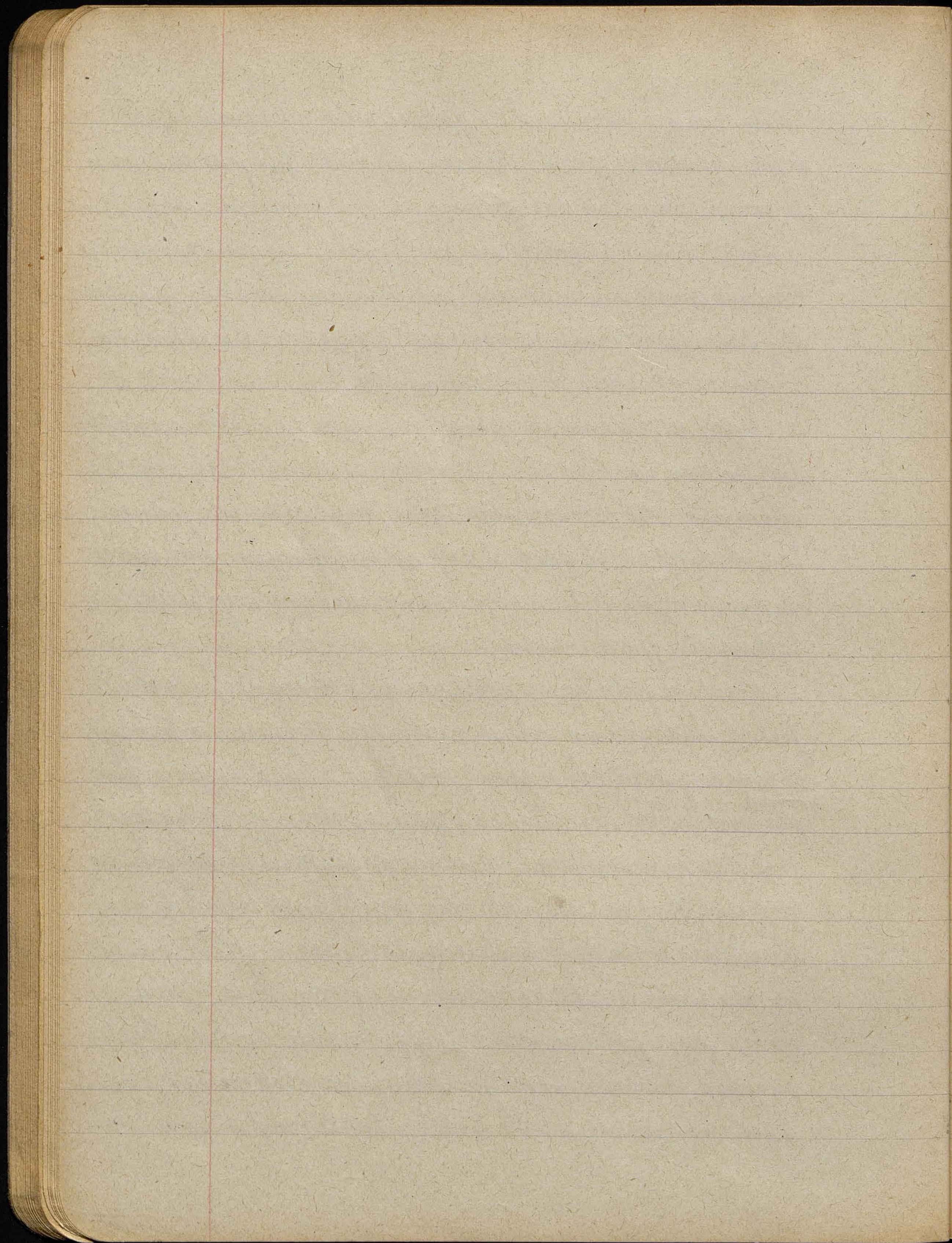
* Pisałem w Paryżu zimą 1917 roku



od tej chwili, a cały ten stan podniecenia odnawia się z tą samą żywością, z jaką się wówczas objawiał. Gdy jednak wmyślę się w ówczesny stan duszy, widzę, że owo pełne niezwykłej jasności myśli podniecenie wypływało z nieuświadomionego i niewyznanego popędu, aby przed Losem, Ananką, Bogiem, czy Koniecznością wyprocesować, wypledować uratowanie mnie od śmierci.

A gdym umęczył się owem kręceniem się w kółko, usiadłem na stołku i oparty o stół, popadłem w smutek taki, że byłem cały nie człowiekiem, tylko jednym żalem, jedną łzą, choć nie płakałem. I ze zmianą pozycyi zmienił się bieg myśli. Byłem wyczerpany, więc nie myślałem, tylko patrzyłem w pamięć.

Przed oczyma duszy przesuwały się obrazy wspomnień: Jestem studencikiem we wsi rodzinnej Głogowcu na wakacyach. W pogodny poranek lipcowy wracam z wycieczki nad San ~~dla~~ urządzonej dla oglądania wschodu słońca, upojony widokiem i czytanemi poezyami ubóstwianego Mickiewicza, wchodzę pod cień obrylantowanych rosą topoli, prowadzących do naszego domostwa, a zielony mchami dach naszej chaty śmieje się rosą do słońca, pławi się białym kominem w blasku, bieleje dymem rannego palenia, ~~pachnie~~ a drzewa trzech ogrodów, w których kryje się dom, ~~popr~~ rozprostowują się uperloną zielenią na tle błękitu. Zapatrzony w ten widok



staję, poziram, podziwiam, gdy nagle z poza bzu od sieni słyszę głos Matki:

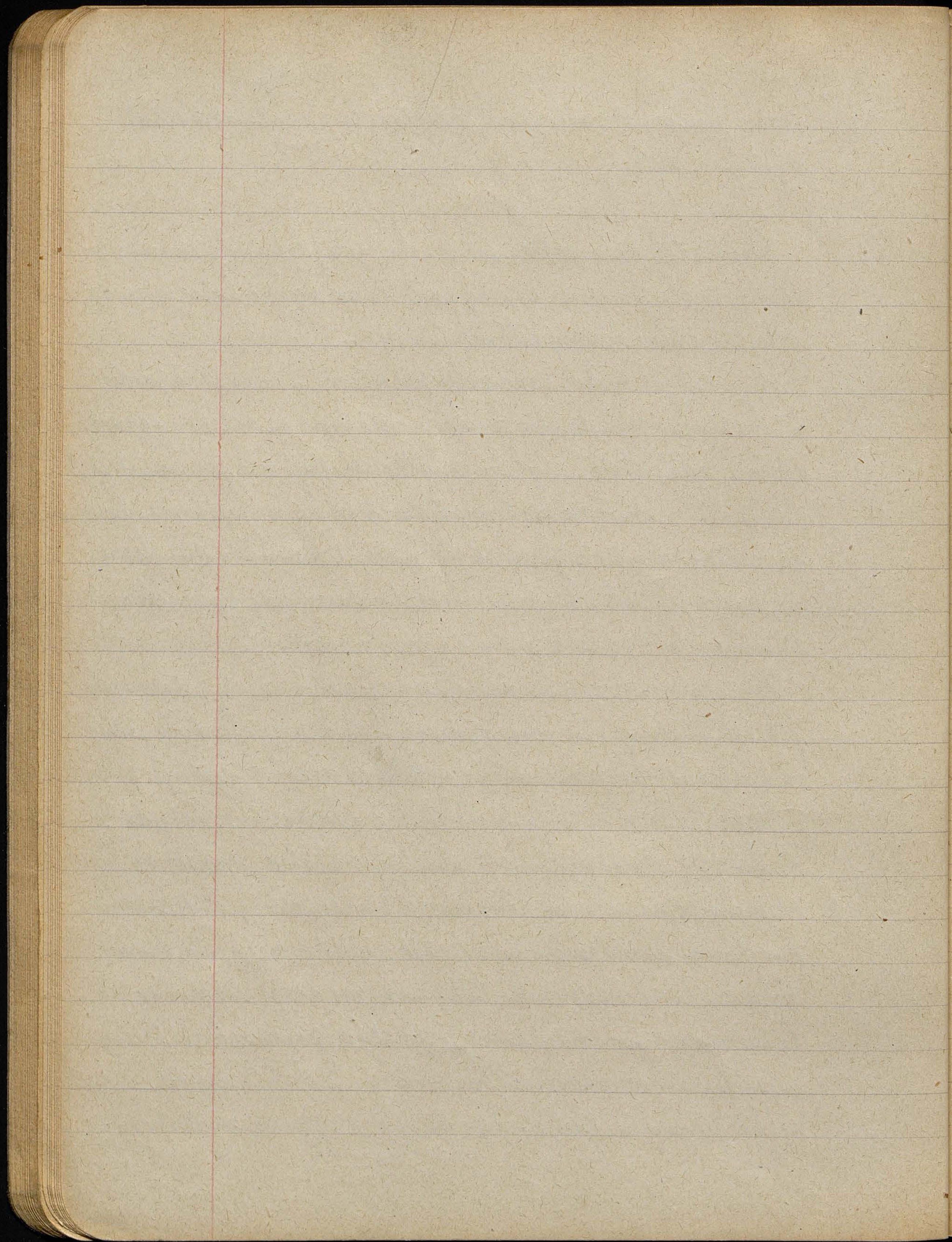
— Jasiu!

Głos ten tak żywo zabrzmiał w uchu, jak gdyby w tej chwili wydobyty, że otrząsnąłem się, aby pójść do mamy i zobaczyłem — wilgotne, śwież ściany celi więziennej.

Więc żal jak wicher zadygotał piersiami i ścisnął za gardło, że chciałem upaść do stóp matki i czołgać się na ziemi i całować ziemię, gdzie stała — byleby ją tylko zobaczyć raz jeszcze. „Nigdy" „Przepadło," mówiła świadomość i wiłem się w bezsilności. Ładnie się matce wywdzięczyłem za jej miłość — ~~za kilka dni~~ kiedyś dowie się, że syn jej jak zbrodniarz rozstrzelany, czy powieszony i biedne, stare jej serce pęknie z żalu i sromoty.

Zerwałem się, żeby chodzeniem zagłuszyć rozpacz, dojmującą jak ból fizyczny. Ale obrazy dzieciństwa przychodziły jedne za drugimi, jak przesuwane w latarni czarodziejskiej.

Jestem chłopcem dwunastoletnim i idziemy z Tatą do Przemyśla. Naciągam nogi, aby trafić w ślady ojcowe, bo idziemy pojedynkiem po ścieżce, a zboża śmieją się do nas kwiatami, przydrożne wierzby tak swoicie nasze, ukochane, pokazują srebrzystą podszewkę liści, zaś drogą ciągnie się za czerwoną chorągwią sznur pątników pacławskich. Ojciec pyka fajkę i dym drażni mi nozdrza, a choć to zapach trochę przykry, kocham go, bo ojca przypomina. Wspomnie-

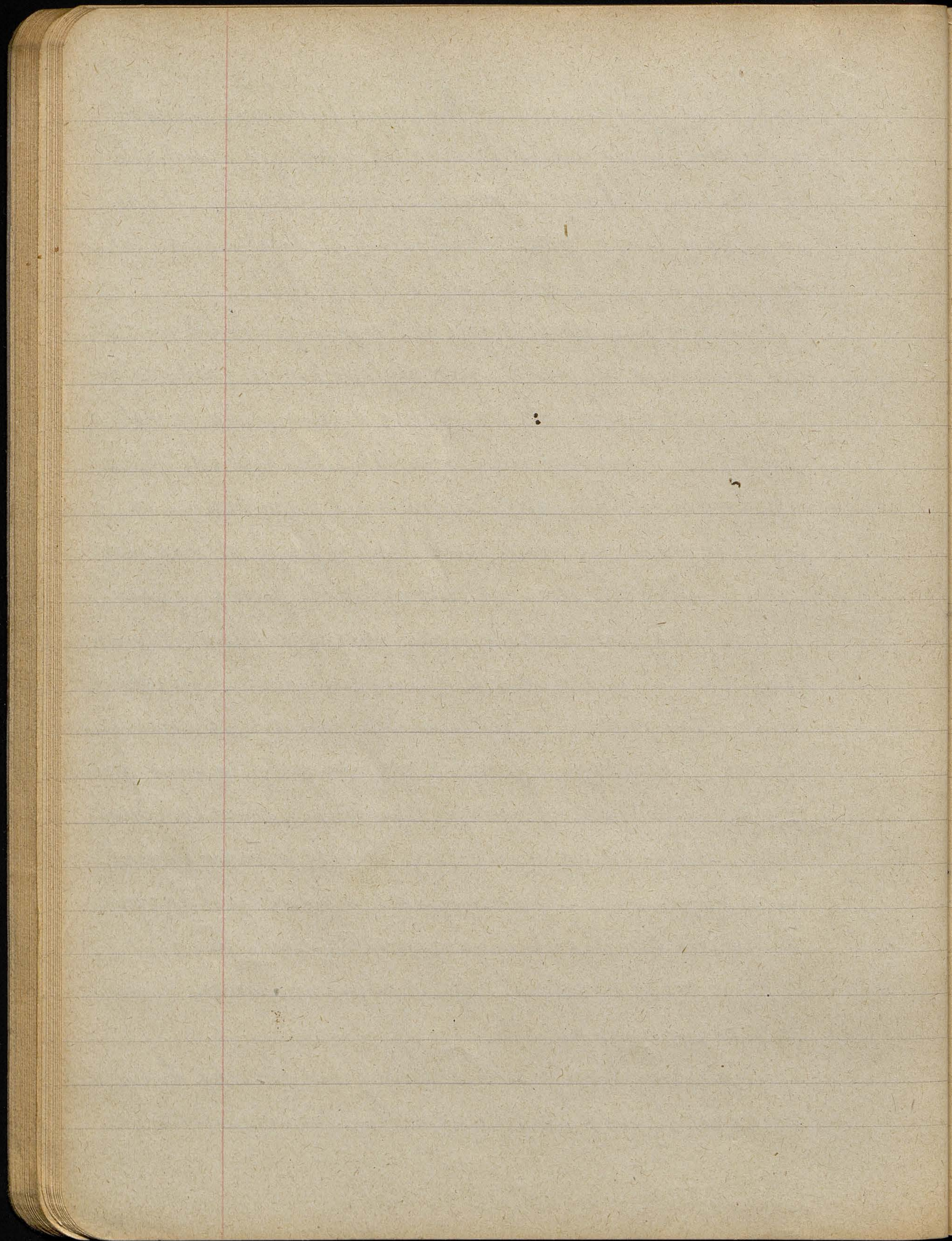


nie było tak żywe, że poczułem ten zapach fizycznie. I znowu rozpaczliwe: „Nigdy" zakołatało mną tak, że byłbym zawył. Ale i świadomość realnego położenia wmieszała się w ten żal i powiedziałem sobie: „Głupiś! Choćbyś nie siedział w Kozie i tak ojca nie zobaczysz, bo od dziewięciu lat w grobie."

W młodości przepędzałem całe wakacye w polach lub zaroślach nad Wisłokiem lub nad Sanem, czytając poezye. Każdy załom rzeki, każdy płacheć pola obramiony drzewami, każda chata stawały mi w pamięci tak świeże, tak pełne barw i dotykalne, jak gdybym istotnie patrzył na nie a nie przypominał. A gdym tak wypił czy wyssał urok każdego z tych obrazów, okropne „Nigdy" chwytało serce jak owoc w twardą pięść i wyciskało je.

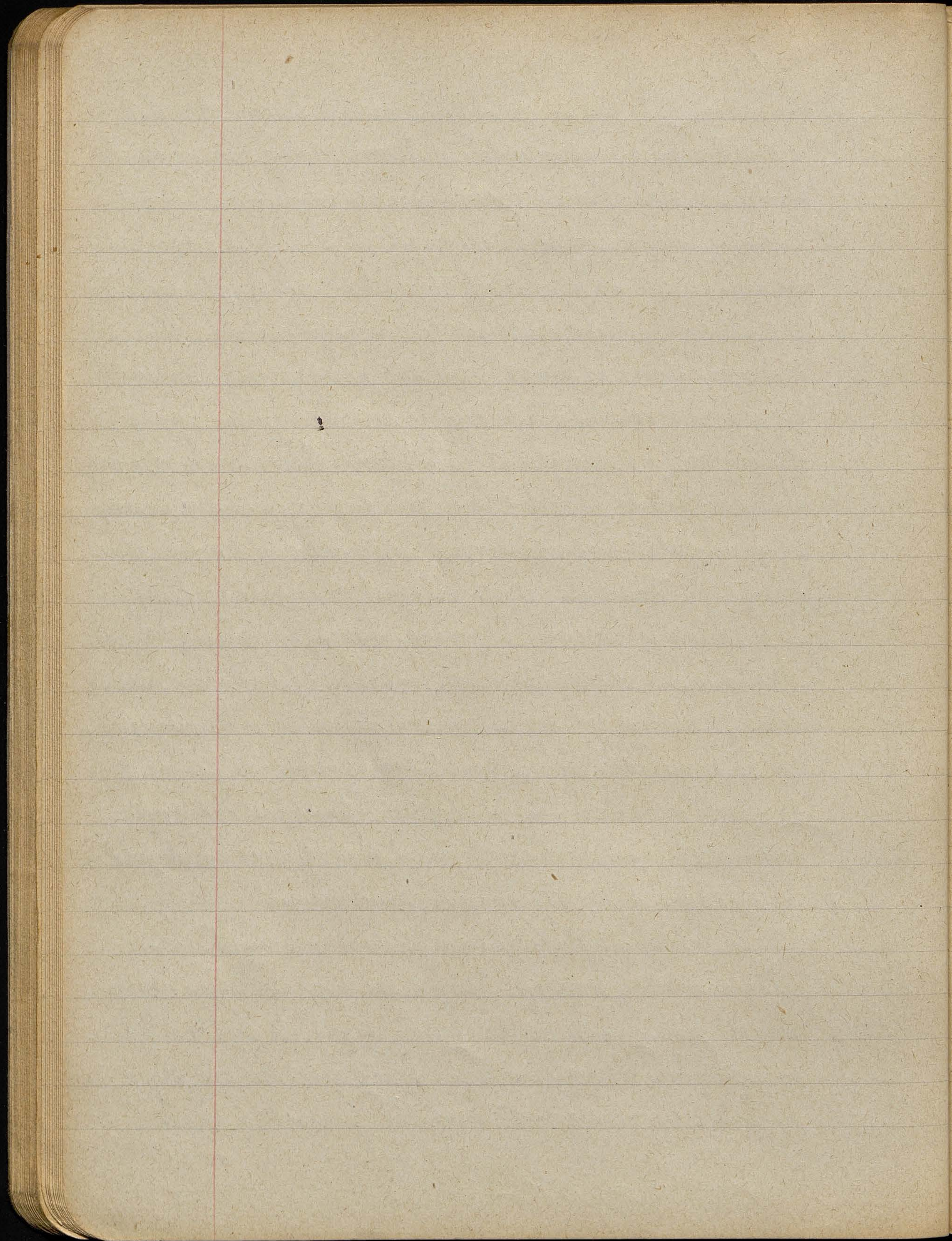
Popod jaskie słońce letnie idę między zbożami na Przyrwę. Siwowłosy Stańko żnie z chrzęszczeniem żyto, więc go pozdrawiam głogowieckiem słowem: „Boże pomagaj!" „Daj Panie Boże" odpowiada sakramentalnie i dodaje: „Ej chłopczyku, żebyś mi tak wody przyniys, bo mi się okrutnie chce pić." Po pół godziny byłem już z powrotem u niego i z konewką wody. „O loboga świętygo - woła stary - tożeś ty paniczu student. Żebym był wiedział, byłbym nihdy nie śmiałowoł prosić cie o wodę. A niech ci ta Poniezus i ta Najświętsza Matka Boska leżyńska da, czego se ino umyślisz." Zdjął kapelusz, ręce wzniósł do góry i zapłakał z rozczulenia.

Ej! nie umyśliłem ja sobie ani kozy ani stryczka. Inną drogą chodziły moje pragnienia, a błogosławieństwa starców



były za ~~mo~~ słabe, aby wyjednać ich urzeczywistnienie. A w ślad za białowłosym Stańkiem zaczęły defilować postaci innych starców, których w bardzo odległem dzieciństwie zapamiętałem. Stary Jędrzej Dudek, Gajowym zwany, usiadł na ~~bełkach~~ stosie belek i drżącemi rękami rzępoli na popękanych skrzypkach melodyę „starego", a ja z palcem w ustach podziwiam jego niepojętą sztukę. „Ha! psiamać! struna się urwała" powiada i przestaje grać. Na ławach ~~po~~ w chacie ponsiadali: długowłosy, bezwąsy Wojtyna, zwany Kurczykiem i drobny, wywiędły Stach Bechta, który co roku z tratwami chodził do Gdańska i Sobek Wlazło, przeczwarny gospodarz ~~opowia~~- i Czyrny Matusz, zwany Zadrogi, co czternaście lat w wojsku służył: ćmią fajki, aż świata bożego nie widać i opowiadają o tem, jak to z „Litaniją" wojowali, a imiona: Fenedyk, Piskiera, Werona, Mantuwa nie schodzą im z ust. Jednooki Flak Marcin zażywa tabakę i próbuje ich zagasić swoimi Kosrutem i Dziulajem, ale że nieporadny, to mu i sam Bem w beczce nie pomógł, bo znowu na ustach Tryjest, Trewizo, Piaczenca. A Kurczyk wysunął się z chaty i za chwilę widać przez okno, że z podrywką idzie na ryby do Wisłoka, bo woda „przybiorkowa".

Gdzie oni wszyscy? Na gniewczyńskim cmentarzu szumią nad nimi brzozy i akacye. I tu już nie moje uwięzienie i bliska śmierć wołają swoje rozdzierające: „Nigdy". Bo choćbym był wolny i miał jeszcze wiek życia przed sobą, nie mógłbym posłuchać ich żołnierskich konceptów: pomarli, kiedym

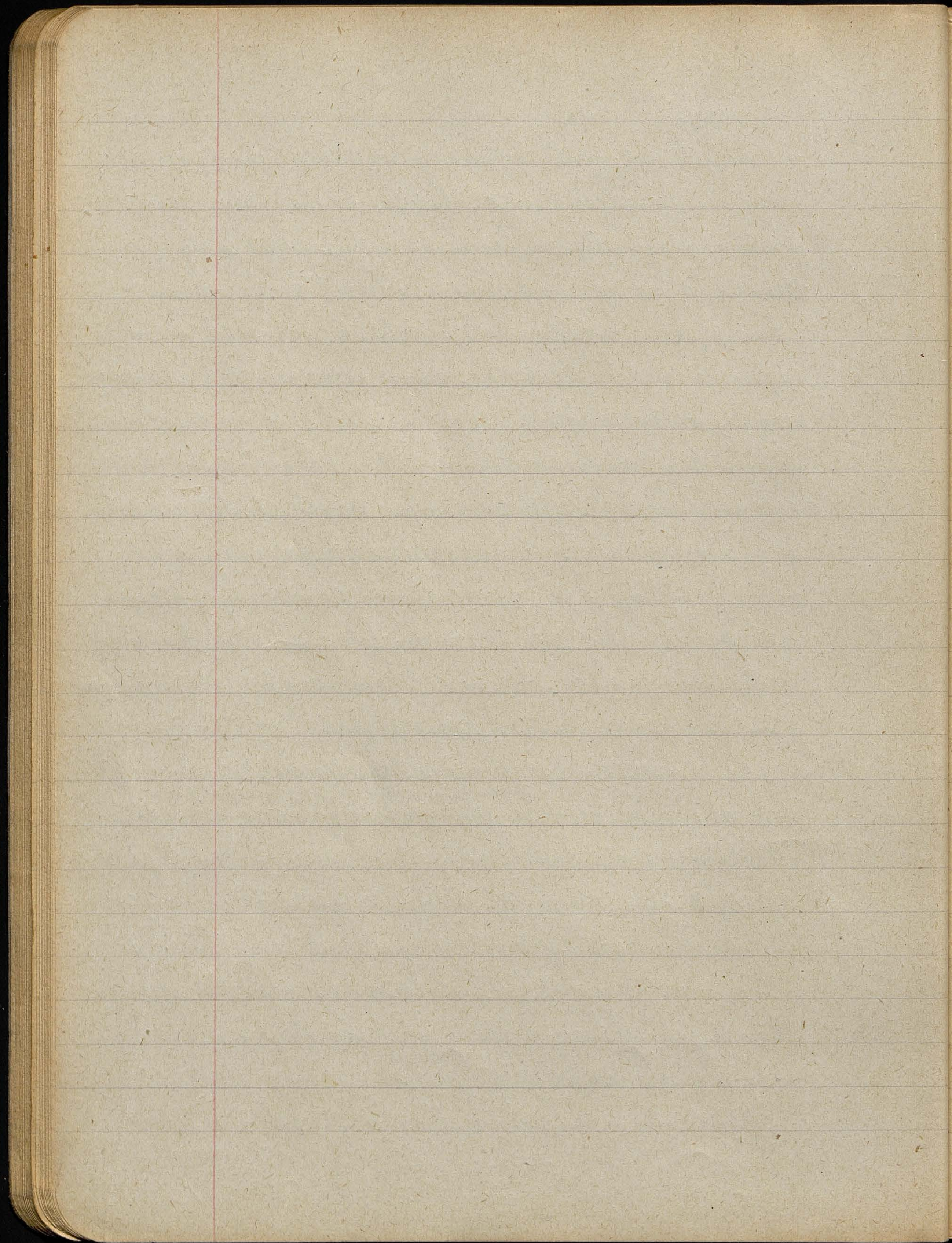


z dzieciństwa wyrastał.

A więc to jest życie? Głową o ścianę tłukłem, kiedy ojciec umarł, krzykiem chciałem go obudzić, aby choć jedno słowo jeszcze od niego usłyszeć – daremnie. I potrafiłem przeżyć już dziewięć lat bez tego najdroższego, a nawet bywałem wesoły, a teraz nagle skowyczę z bólu, że dalekich znajomych mam nigdy nie oglądać? Za matką rozpacz mnie chwyta – a toż przed aresztowaniem mogłem ją oglądać do woli. Kto mi kazał siedzieć w Krakowie, nie w Grogowcu? Więc kochane osoby nabierają ceny, kiedy się jest skazanym na ich utratę – ale póki się je ma, wynajduje się inne, pilniejsze zatrudnienia i większe sprawy, je zaś same uracza się tylko tym czasem, jaki zbędzie, niby odpadkami ze stołu... Nie przesadzaj więc kochasiu! i powiedz sobie, że się tchórz przed śmiercią obłatuje, a nie bolą żadne miłości i przywiązania.

Ale ta uszczypliwa refleksya bynajmniej mnie nie uspokoiła. Z pośpiechem wyrzucam ~~sobie~~ popełnione winy i mówię ~~odpowiadałem~~: Dobrze, prawda, wszystko prawda. Zaprzątnięty głupiemi sprawami, zapominałem o niewidzianych... dobrze! byłem bez serca... dobrze! nie byłem czułym synem, bratem... niech będzie! owszem: byłem złym, najgorszym – ale teraz boli, ale teraz serce skomli jak szczenię w przerębli, ale się kraje i pęka, że rady sobie dać nie mogę.

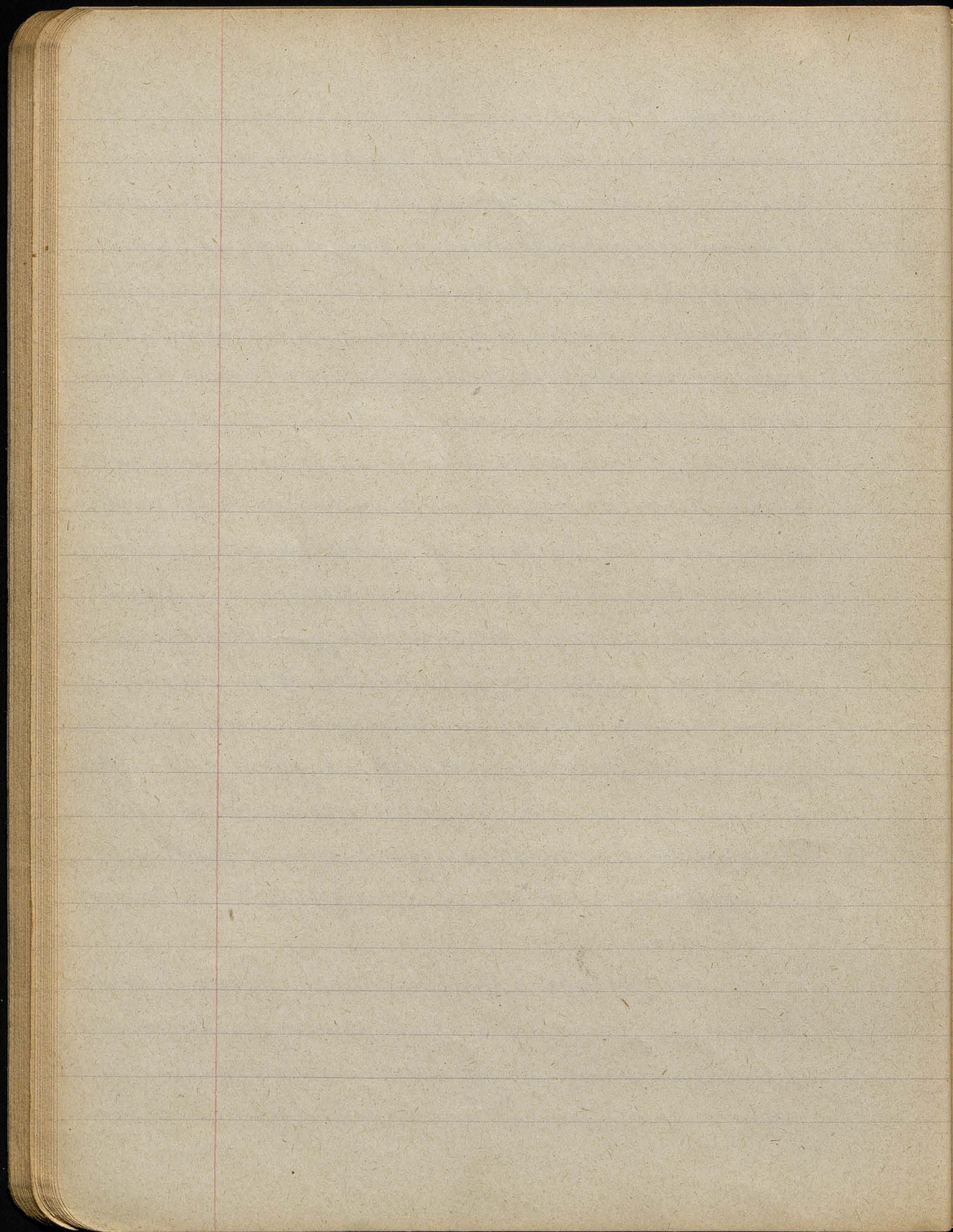
Więc znowu w rozterce zacząłem biegać jak wilk w klatce.



Ale obrazy przeszłości bynajmniej mnie nie opuściły. Jestem studentem w Jarosławiu, stoję na urwisku pod murami pobenedyktyńskiego klasztoru i podziwiam słońce, które wstaje za lasami Łapajówki i Koniaczowa, przebija mgły, co upowiły San wijący się w dole między łozami i oziaca brzegi czarnych, odwiecznych lip Wysocka. A tam na lewo, na krańcu widnokręgu czerni się park sieniawski. Natężam oczy i wyróżniam w konturach drzew zarys sygnaturki i dachu kościelnego. To tam, na tej linii – tam żyje „Ona", nienazwana, do której ~~...~~ przewzdychałem całą młodość, napisałem bróg wierszów, a nie miałem odwagi przybliżyć się, przemówić. I widziałem precudną twarzyczkę sześcioletniego dziecięcia o kruczych włosach i grzywce, o czarnych, wielkich oczach tak dziwnie spokojnych. Twarzyczka to była anielska, śniada jak u cygańskiej księżniczki. A potem „ona", ale już podlotek, panna, do której nie mogłem zbliżyć się, bo serce bić przestawało i omdlewałem. Tylko wzrokiem z daleka ścigałem ją i to wystarczało, żeby w gorące marzenia dać pokarm myśli i ~~po~~ zasilić zapas poetyckich uniesień na tygodnie, miesiące. Słowa z nią nie zamieniłem, a zostałem jej wierny i zejdę do grobu bezżenny.

Jakie to głupie!

Ale i ona biedaczka. Kto w tych wielkich, spokojnych oczach byłby wyczytał tragiczność? Widziała samobójstwo narzeczonego, a dziś jest westalką jego pamięci – nieutulona w żalu dziewica-wdowa. Jak się to dziwnie układa! Objechałem całą



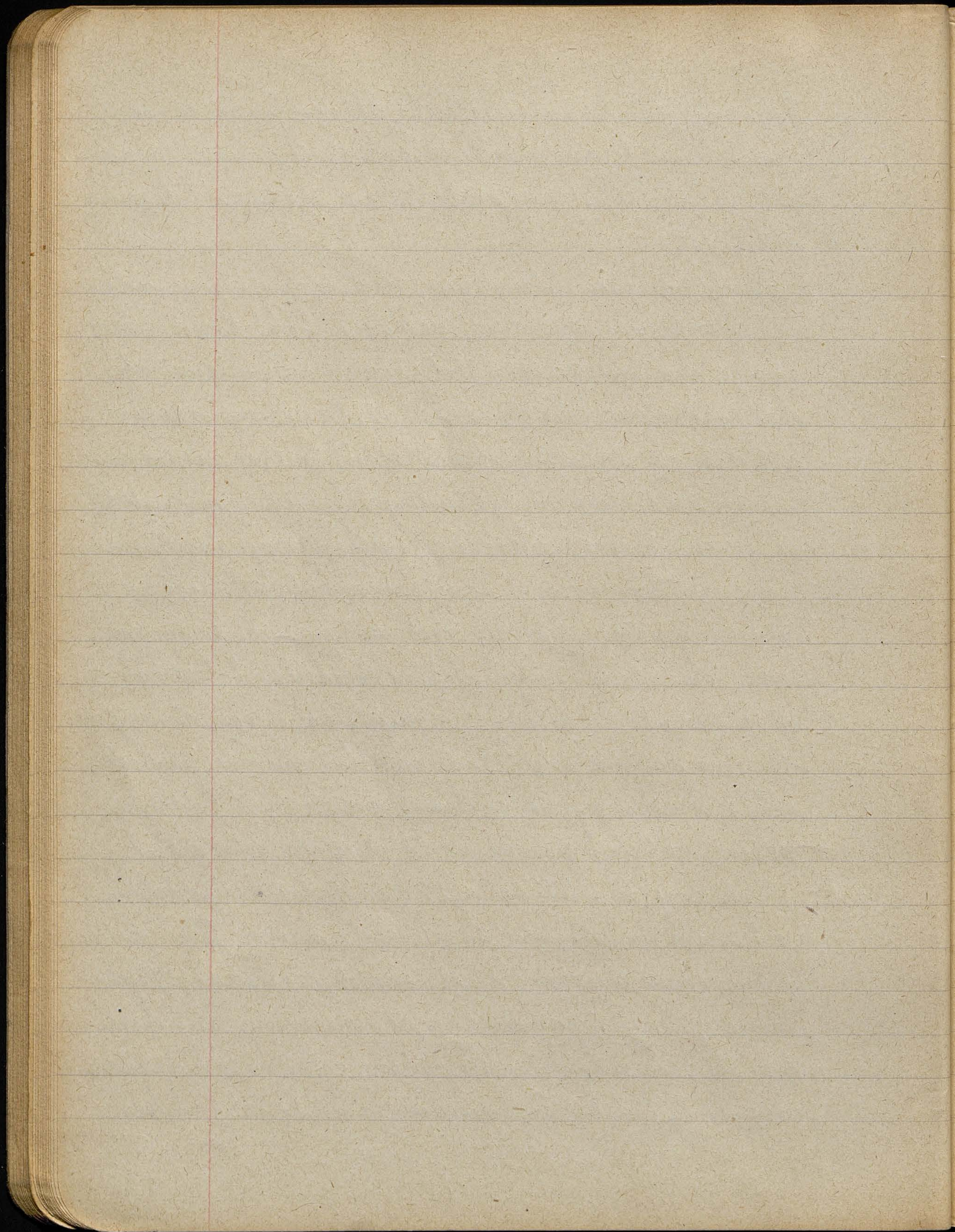
Galicyę - prawie niema miasteczka, któregobym nie odwiedził, a między tymi trzema miastami, o które nie zawadziłem w życiu, jest właśnie i to ustronie, w którem ona więdnieje i obumiera od tylu lat.

Oboje zmarnowaliśmy życie, ale każde na własny rachunek.

Czy naprawdę zmarnowałem to życie? Tak! Nie dokonałem niczego, choć pracowałem i ślad po mnie nie zostanie żaden, choć pragnąłem dobrą sławę zostawić. Wyrzekłem się szczęścia osobistego, aby się wielkiej sprawie oddać i mimo niepróżnowania nie dokazałem niczego trwałego. A wszyscy spodziewali się po mnie czegoś wielkiego i ja w tę nadzieję wierzyłem.

Pracowałem nad uświadomieniem ludu polskiego na Podolu. Przyszedłem pierwszy, rozbudziłem ruch, dałem mu formy, obudziłem innych - tak od Brodów do Zaleszczyk od Glinian do Podwołoczysk wydeptałem drogi, otworzyłem dusze na przyjęcie polskiego słowa. Ale inni rzecz powiedli dalej i w wielu wypadkach lepiej, gruntowniej. Nie dziw, że po kiedmiu latach pamięć moich początków zatarła się.

Tylko, czy jest w tem zasługa? Ten biedny lud podolski spał snem duchowym i nie wiedział o niczem. Ja przyszedłem, potrząsnąłem duszami, nauczyłem ich, co znaczy być Polakiem i wszczepiłem im przywiązanie do polszczyzny. Dziś Moskwa tam siedzi, a gubernator Bobriński ogłosił, że to kraj odrzennie rosyjski. Ja tych ludzi nauczyłem, że nie są łatynnikami,

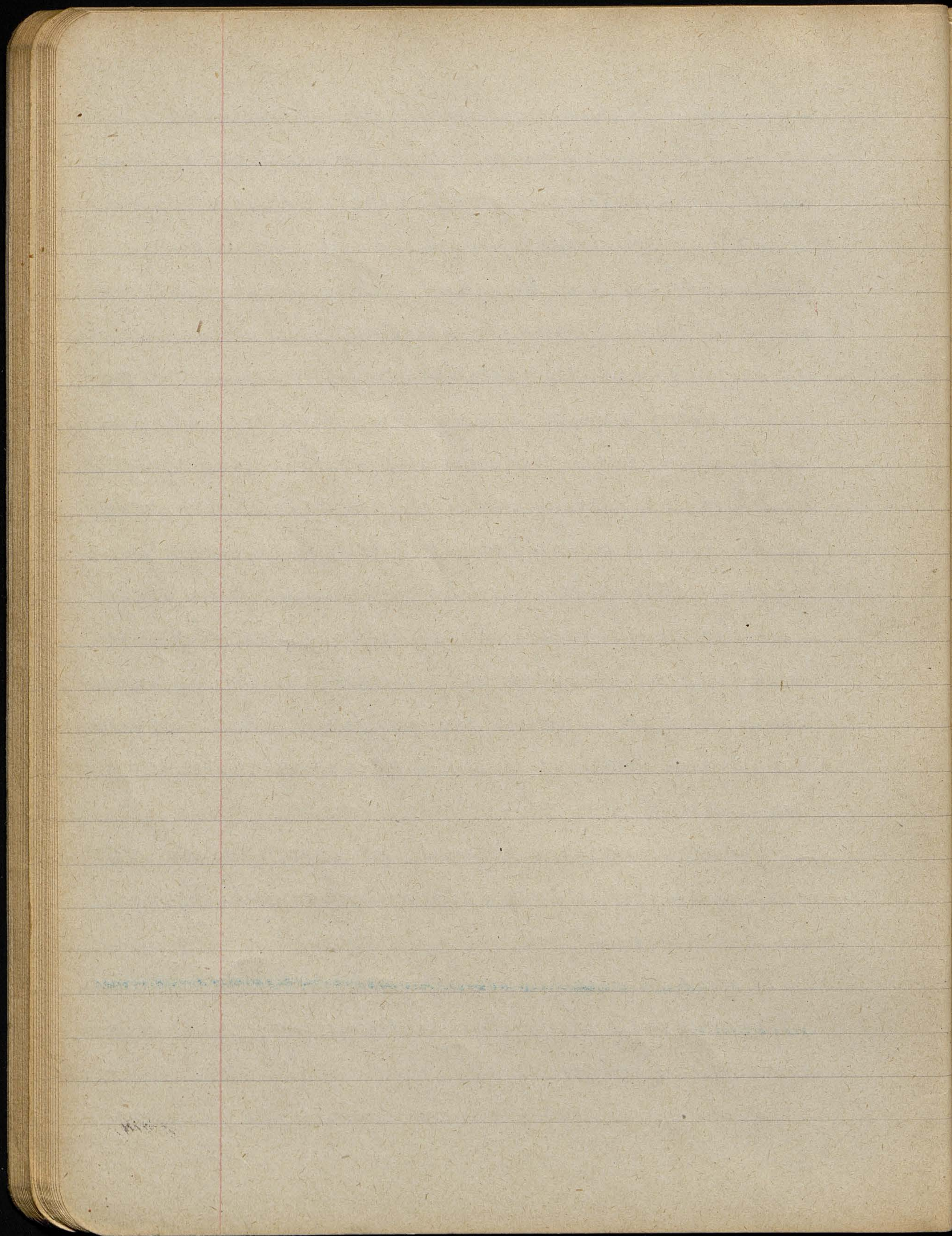


~~i teraz oni będą stawiać opór rusyfikacji. Nieszczęsna z~~
ale mnie teraz nie ma między nimi, aby nadstawić pierś na dowód, że nie są Rosyanami. Stawią opór – ziemia nieszczęsna zamieni się lada chwila w drugie Podlasie, spłynie krwią i łzami, zadrzewi się szubienicami, a skrzypiący stryczek i świstający knut staną się muzyką codzienną. Po co? Krew męczeńska na całym świecie daje początek nowemu życiu i użyźnia grunt pod świetlaną przyszłość, tylko w jednej, przez Boga i ludzi opuszczonej Polsce znaczy nieuchronne przybliżanie się zguby. Dziś każdy z męczonych polskich chłopów na Podolu ma prawo przeklinać moją pamięć i całą robotę za to, że dawszy im poczucie ojczyzny, samej ojczyzny nie dałem, że byłem apostołem ułudy i bezcelowego męczeństwa. Każdy batożony przez siepajków Polak jest moim grzechem, moją zbrodnią. Trzeba było zostawić senne dusze ich uśpieniu, aby, gdy Polski wskrzesić nie można, nie narażać ludzi na daremne prześladowania, bez celu, bez nadziei...

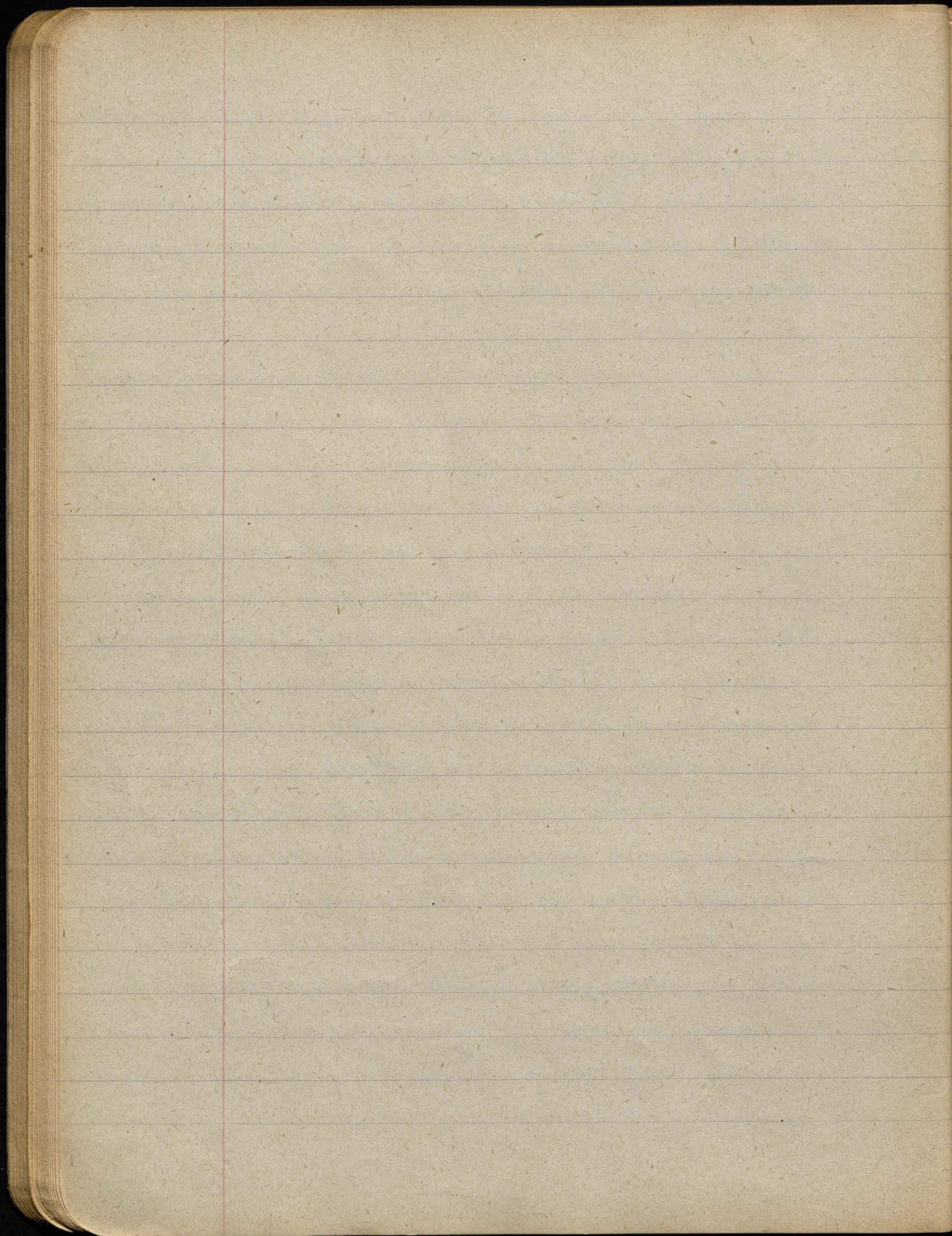
Gorzkie rozważania przerwał mi zgrzyt zamka – żołnierz postawił blaszankę i zaczernioną od wieku łyżkę cynową i wyszedł.

To obiad. W mizernym rosole pływały drobne kawałki mięsa i ogromne białe kluski. Mięso pokrajane, aby je łyżką dobywać, skoro noże są zakazane.

Uporałem się szybko z jedzeniem, ale nie ruszając



się z miejsca, nie mogłem przeciąć biegu myśli i wspomnień.
Jak ja ten dobry lud podolski kochałem i jaką się cieszyłem wzajemnością. Poza wspomnieniami dzieciństwa, spędzonego w nędzy, ale ozłoconego miłością rodziców i nadzieją przyszłości, okres mego przedposelskiego życia w Tarnopolu, to jedyny okres świetlany.
Chociaż przy każdej przypomnianej postaci, przy każdej wizji przecudnych krajobrazów podolskich zgrzytało mi ciągle w duszy owo uprzykrzone: „Nigdy," zatopiłem się całą duszą w te wspomnienia, upajałem się ich rozkoszną barwą i wonią tak dalece, że całkiem zapomniałem o rzeczywistości i żyłem w wyobraźni. Z zakątków pamięci, nie przeglądanych nigdy, wychylały się sceny, postaci ludzkie, słowa, o których zdawało mi się, że zapomniałem na wieki.
Ale roztaczając tak otwarcie swój pamięci, nie ważyłem się przypominać tego, co przeżyłem w Krakowie i w Bielsku, w Białej, w Żywcu. Za wielu zostawiłem tam przyjaciół i jakiś zabobon ~~ko~~ zakazał mi myśleć o nich z obawy, ażeby w jakiś magnetyczny sposób nie zwrócić uwagi moich prześladowców na nich i mimowolnie nie sprowadzić na nich aresztowania. Nie zastanawiałem się nad dorzecznością lub niedorzecznością tej przesądnej obawy, tylko, przypuszczając możliwość takiego telepatycznego oddziaływania w dal, postanowiłem pogrzebać w pamięci tych przyjaciół, w nadziei, że gdy o nich myśleć nie będę, to i ci, którzy mnie zamknęli, przeoczą ich zupełnie. Moje dzieciństwo w Głogowcu,

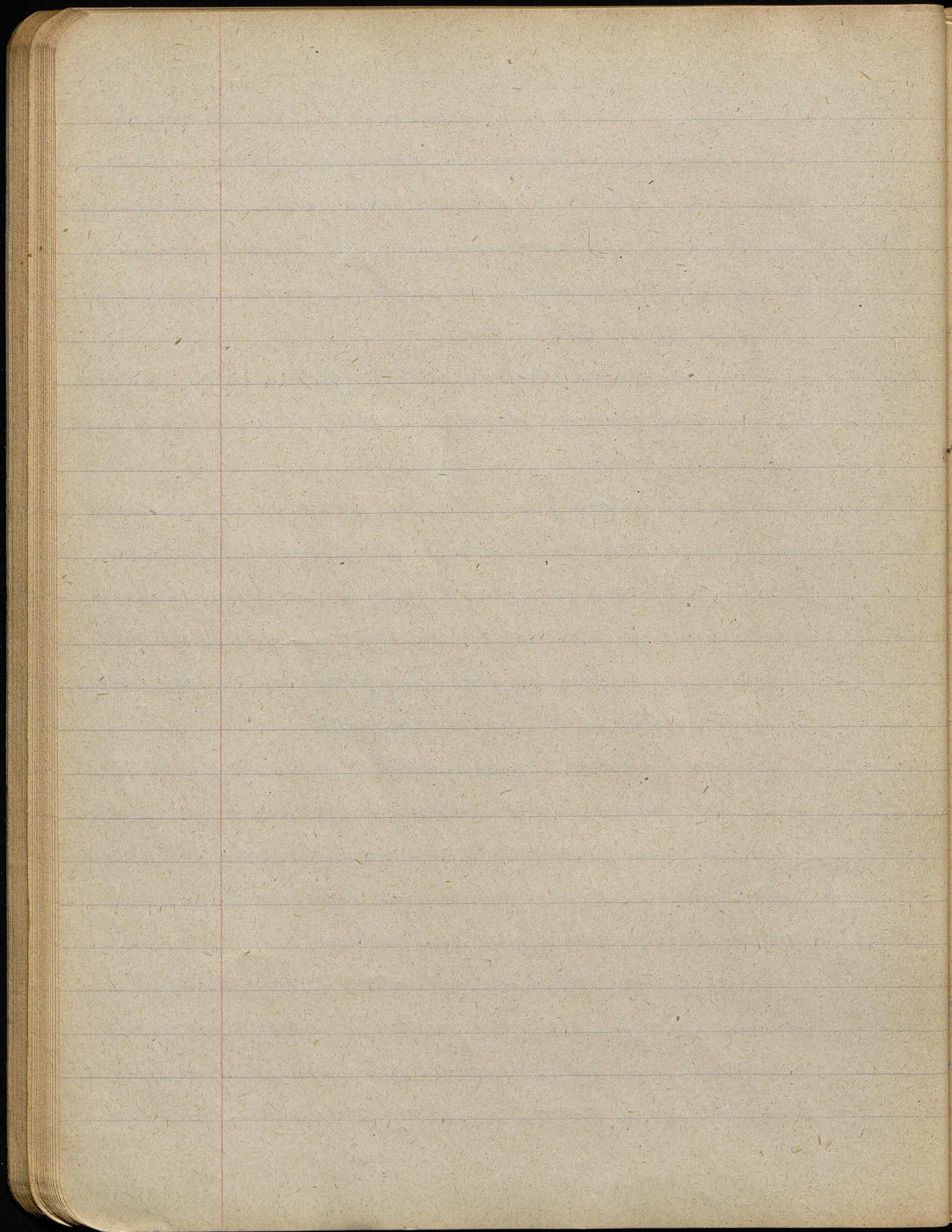


Rzeszowie i Jarosławiu było pierwszą oazą skołatanego umysłu, boć w dzieciństwie nie trudniłem się polityką i nikogo moją znajomością nie kompromitowałem, a potem pobyt na Podolu dostarczał mi wzruszeń i wspomnień niezamąconych, ponieważ tamtejsi moi przyjaciele znajdują się pod inwazyą rosyjską i mściwość austryacka już ich nie dosięgnie.

W tych marzeniach upłynęło mi kilka godzin. Nagle za ścianą dał się słyszeć przykry a donośny gruchot, jakgdyby ktoś trzasnął laską po sztachetach.

To salwa! ~~Znowu~~ Kogoś ustrzelono za ścianą. Kto to mógł być? Za co go zabito? Szkoda pytać, bo się nie dowiem. To więzienie wojskowe jest taką stajnią prowizoryczną przy wielkim, państwowym szlachtuzie ludzi. Nagromadzono pewno setki trzody ludzkiej, a rzeźnicy rządowi wybierają sobie okazy pojedynczo i gładzą je, jak się wybija robactwo lub topi nadliczbowe kocięta.

~~Ten trzask rozstrzel~~ Za chwilę ozwał się za ścianą głuchy tupot koni i przyciśnione dudnienie jakiegoś zamkniętego pudła wozowego, potem jakieś krzyki komendy, chodzenie po szutrze i cisza. Jedno życie ludzkie, zgładzone brutalnie dla samowoli molocha, zwącego się państwem austryackiem, życie może małe i nieznane, może wielkie i szlachetne. I w tej rzeźni nie zostało po niem nawet tyle śladu czy pamięci, ile w naszej wiosce zostawało po zdechłym psie, a stanowczo mniej niż po sprzedanej krowie. I to ludzie, nie mający ani więcej rozumu, ani więcej



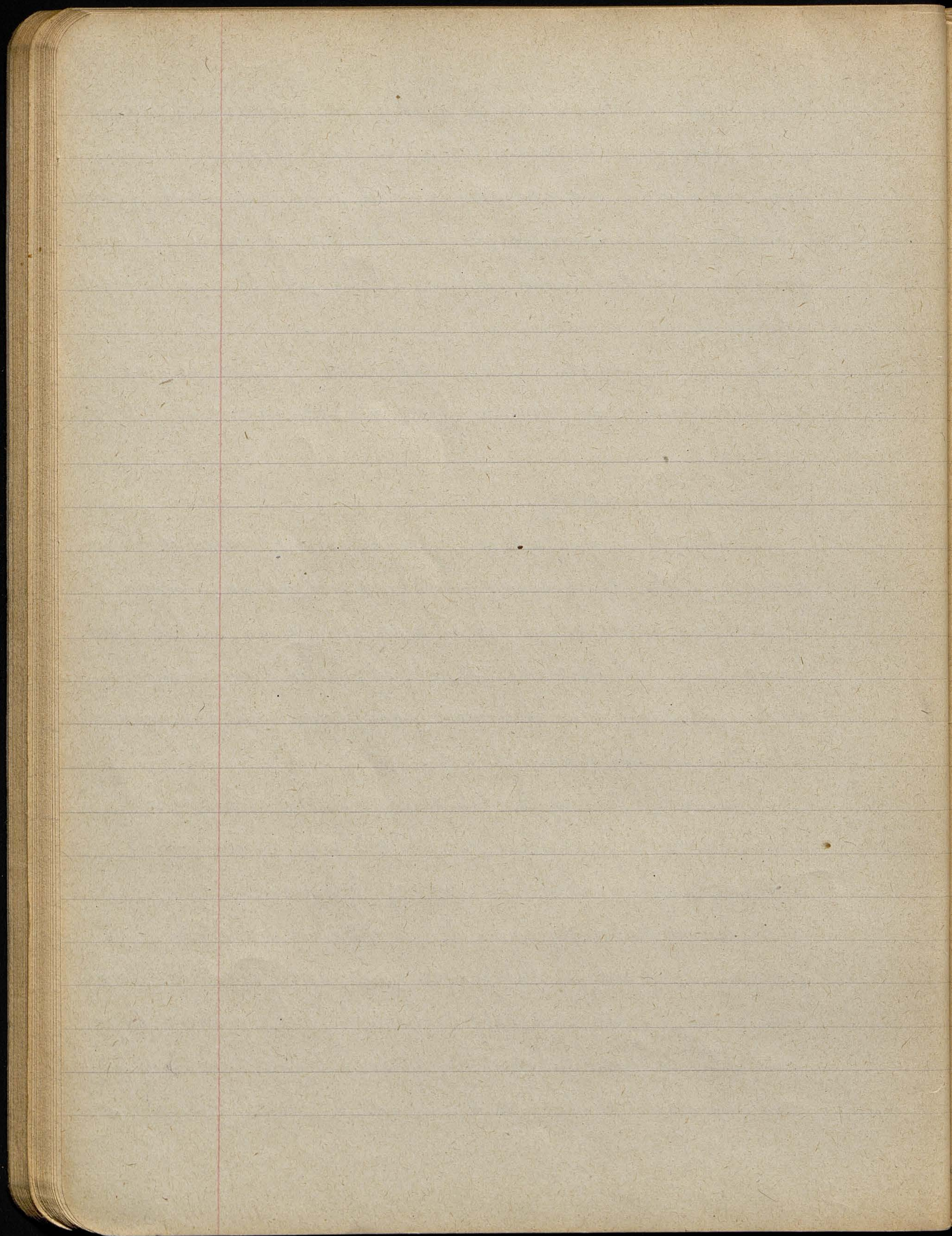
duszy, ani nie odznaczający się niczem nad nieboszczyka, wyrządzili to podobnemu i równemu im człowiekowi. Dla czego? Bo mają jeszcze siłę gwałtu, siłę przemocy w rękach. Jutro mogą ~~ich st~~ ją stracić i skazany już na śmierć przyjaciel zabitego może do rąk dostać tę przemoc i zgładzić swoich niedoszłych katów. Jakie to wszystko ohydne i oburzające.

Popadłem w pewnego rodzaju odrętwienie. Gdy mi przyniesiono kawę wieczorną, zapytałem cugsfirera dla upewnienia się, co to był za trzask?

– Eine Justifizierung.

A! Tak się to nazywa w tym najbrzydszym, najbardziej rozślimaczonym języku, który nigdy niczego nie nazwie po imieniu, tylko obgada, opisze, oślini, jak ślimak oślinia liść, po którym przepełznął! Justifizierung... to niby od „iustus" łacińskiego wzięte, znaczyłoby zatem dosłownie: zadośćuczynienie sprawiedliwości. Co to jest austryacka sprawiedliwość?

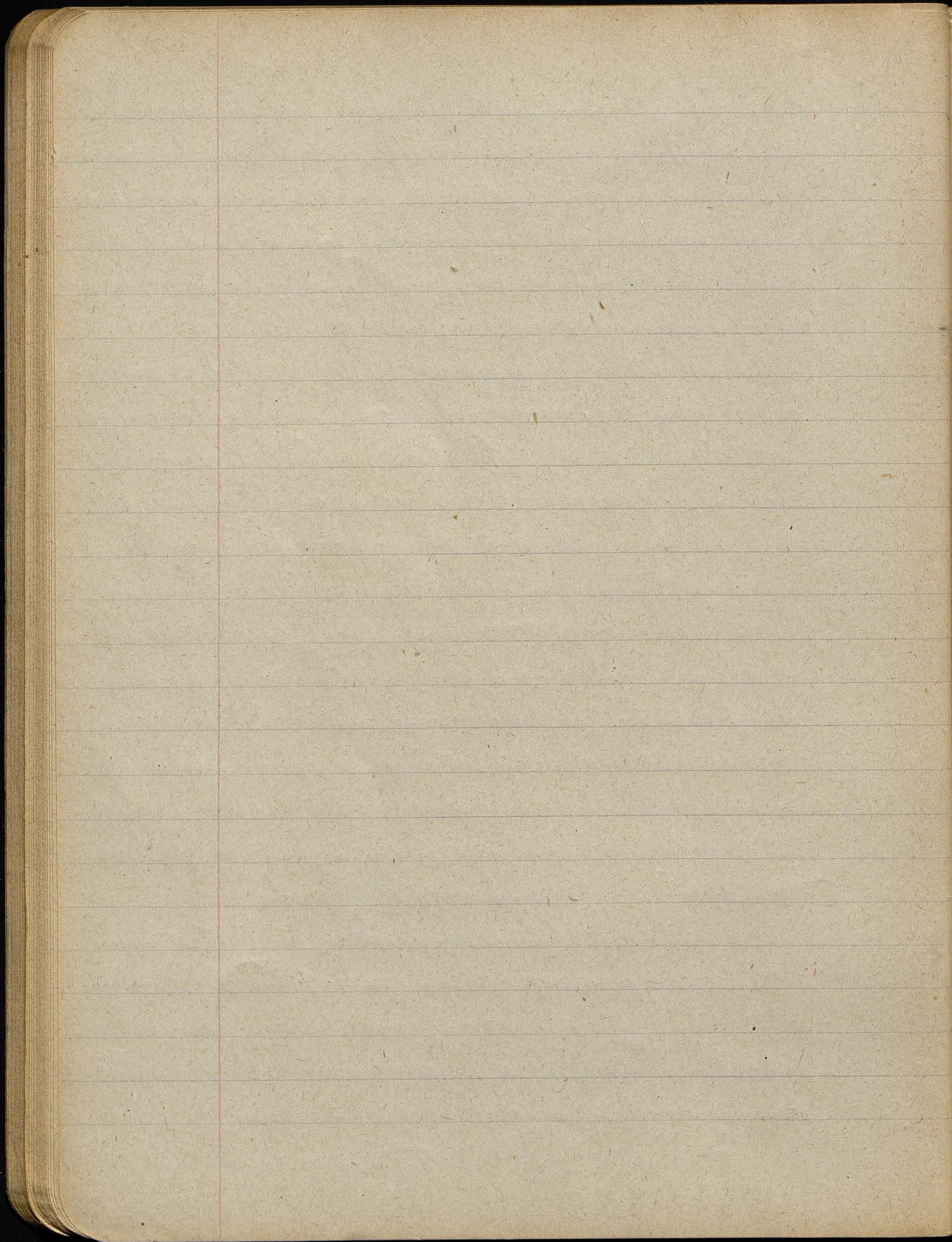
Kiedy w 1848 Węgrzy zażądali samodzielności, wywieszano w Ador trzynastu jenerałów i moc innych ludzi, a nieobecnych wieszano „in effigie". Portret nieobecnego Juliusza Andrassy'ego wisiał tak na szubienicy. Za co? Za to, że chcieli u Franciszka Józefa wymusić to, co wszyscy Habsburgowie im zaprzysięgali od XVI wieku regularnie, a czego smarkaty Franciszek Józef nie chciał dotrzymać. Stało się zadość habsburskiej sprawiedliwości. Ale kiedy ten sam pan dostał w skórę od Francuzów, Włochów i Prusaków,



dobrowolnie, aby ratować swoje panowanie, przyznał Węgrom to, czego przed 18 laty przyznać nie chciał. Niedoszły wisielec Andrassy został ministrem dualistycznej monarchii i w kołach dworskich uzyskał opinię męża opatrznościowego. Szkoda, że powieszonych jenerałów nie można było wskrzesić – przydaliby się na komendantów dla formowanych honwedów, po zmianie systemu.

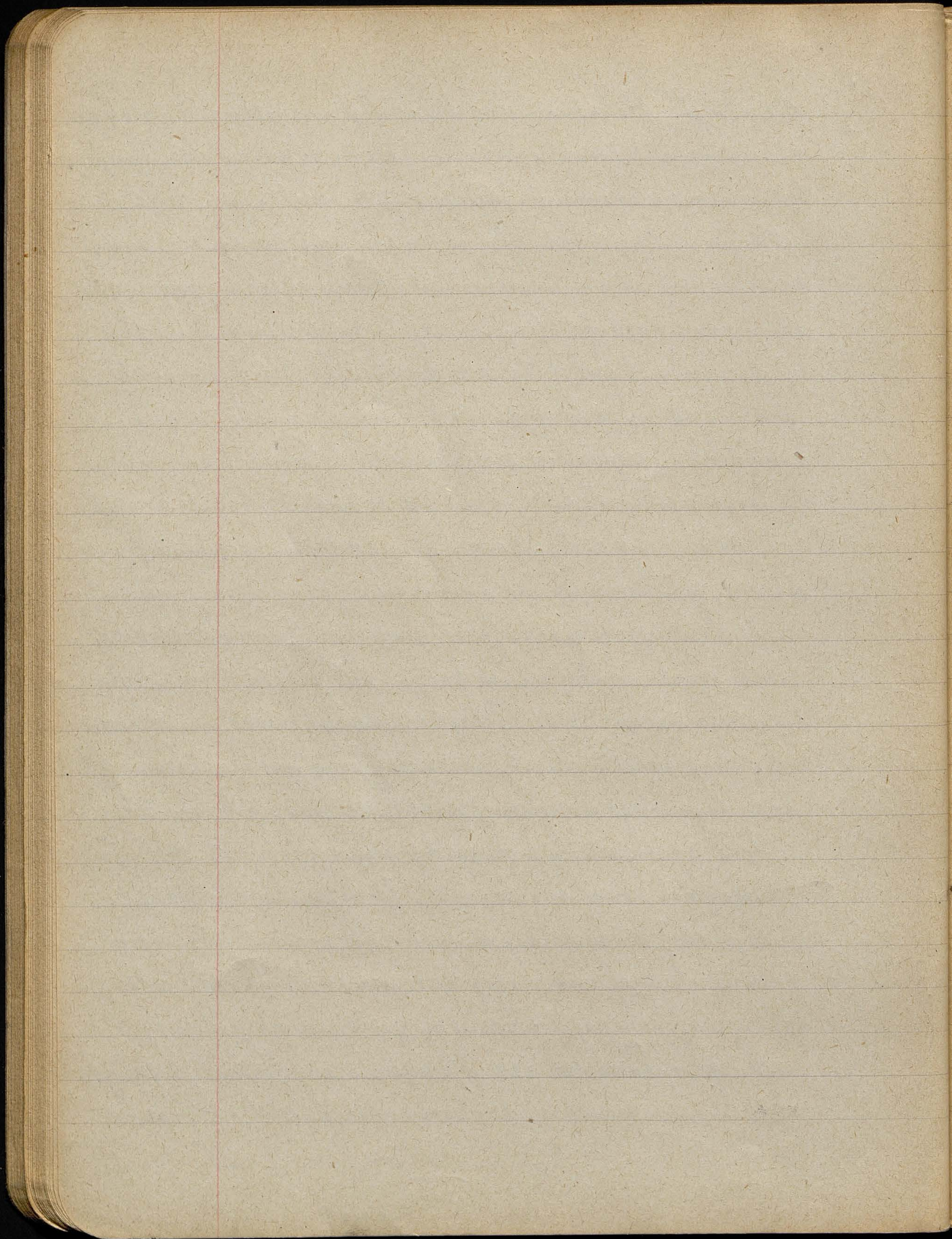
Co to jest system? Jest to ciasnota tępej głowy, siedząca na tronie lub obok tronu. Ten sam człowiek wydawał setki wyroków śmierci w roku 1849 za to, za co po 1866 roku dawał tytuły, ordery, odznaczenia. Gdyby po zaprowadzeniu dualizmu była znalazła się partya, któraby z bronią w ręku chciała przywrócić usunięty centralizm, jej członkowie byliby znowu wieszani tłumami. I to byłaby także sprawiedliwość. Cnota sprzed ćwierć wieku stała się zbrodnią i na odwrót. A ta zmiana systemu odbyła się w duszy jednego człowieka, „najdobrotliwszego" monarchy. I to mu wcale nie przeszkadza trawić dobrze, dożyć najsędziwszego wieku i uważać swoje zwapniałe kości za odbicie bóstwa na ziemi. A pięćdziesiąt milionów baraństwa czołga się w prochu przed tym kościanym dziadkiem o trzęsących się rękach i nogach.

Ten zabity człowiek mógł być Czechem, który żądał przywrócenia Czechom praw, zaprzysiężonych przez pierwszego Habsburga w XIII. wieku i dotrzymywanych mniej lub więcej wiernie do trzydziestoletniej wojny, a nawet i później. Czesi chcą, aby Habsburg dotrzymał słowa – i dlatego idą tłumami na szubienicę.



Hr. Stürgkh powiedział sobie, że w Austryi wszystko musi stać się niemieckiem. Wierzy, że Prusy zwyciężą i że pod ich skrzydłami będzie można zamienić Austryę w jeden wielki kryminał, w którym wytępi się wszystko, co nie zechce pospiesznie niemczyć się. To też dziś cała monarchia jest placem egzekucyjnym, gdzie się morduje każdego, który jaśniej da do poznania, że nie chce być Niemcem. A jest to ten sam hr. Stürgkh, który jako poseł był tak zajadłym autonomistą i konstytucyonalistą, że groził prezydentowi ministrów barykadami i latarnią. Cóż się stało? Zmienił system. Szkoda, że nie jest konsekwentny do końca, bo w pierwszym rzędzie powinien sam siebie powiesić za dawne przekonania tak sprzeczne z jego dzisiejszym systemem. Przynajmniej „in effigie" powinien dla przykładu urządzić tę egzekucyę dawnemu posłowi Stürgkhowi. Wystarczyło, że germanizator Śląska i fabrykant cieszyńskiego masła deserowego arcyksiążę Fryderyk, pasowany przez swoje urodzenie na austryackiego Napoleona, powiedział mu, iż trzeba taki system zaprowadzić, a on już był gotów.

Ale jeżeli Prusy nie zwyciężą? Jeżeli Austrya zacznie się rozsypywać? Wtedy całkiem spokojnie zmieni się system. Franciszek Józef, nie chcący koronować się w Pradze wbrew zaprzysiężonym zobowiązaniom, gotów mimo podeszłego wieku przepędzić rok cały w wagonie, aby jeździć po wszystkich stolicach narodowościowych i koronować się w Pradze, Opawie,



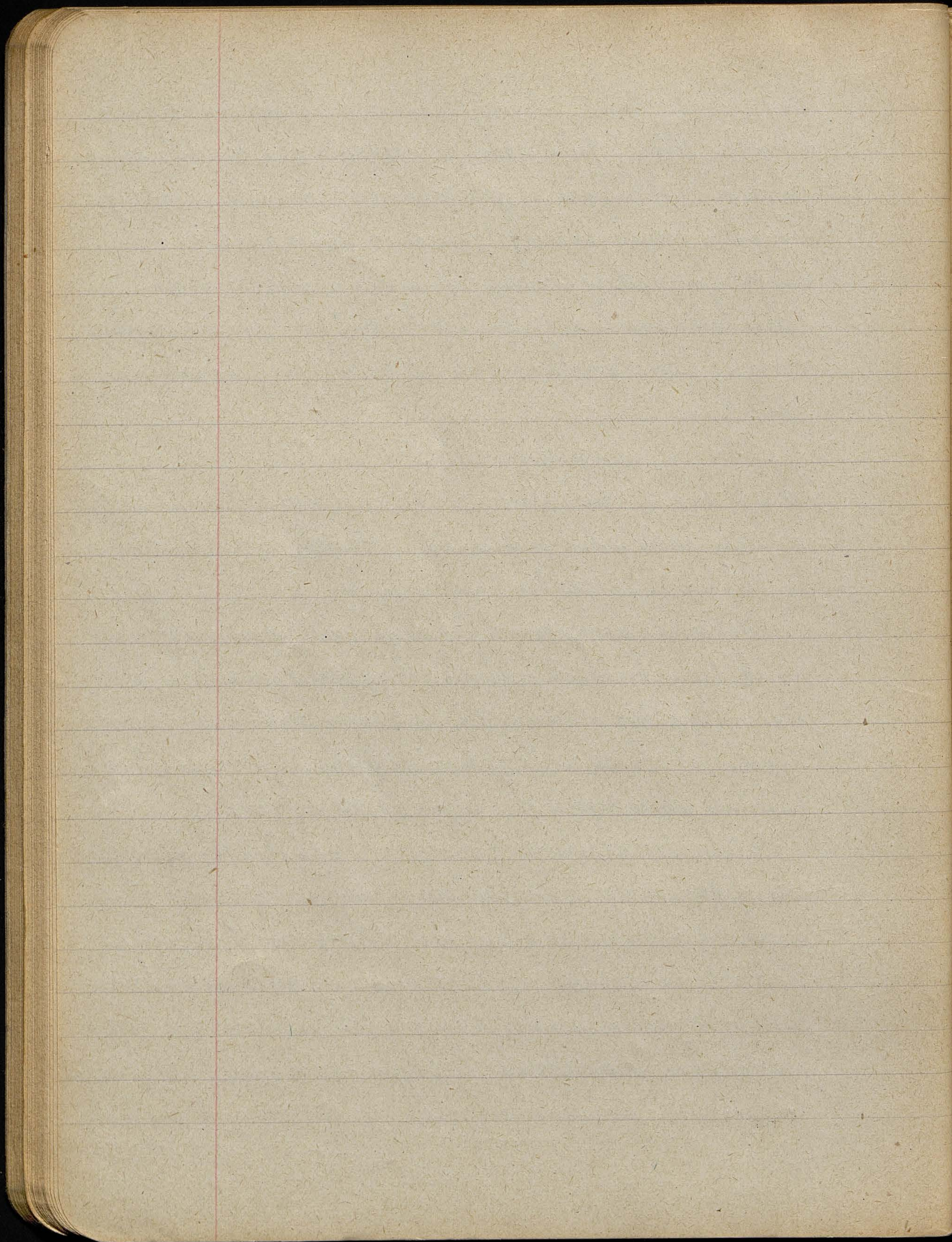
Szybinie, Zagrzebiu, Celowcu, Zadarze i kto tam wyliczy owe wszystkie stolice? Gotów gadać w jedenastu c. i k. austryackich języczkach i pokazywać się jak arlekin w jedenastu narodowych strojach, a przysięgać wszystko, czego od niego zażądają. I hr. Stürgkh może i wtedy towarzyszyć swemu monarsze, bo na to trzeba tylko zmienić system. Austryaccy politycy i monarchowie mniej są stali w przekonaniach od Lutra, który na soborze powiedział:

- Hic sto, non possum aliter.

Oni tę dewizę zmieniają: Hic sto, possum autem aliter. Ale wtedy jeszcze jedna szubienica należałaby się temu samemu hr. Stürgkhowi za jego teraźniejszy system.

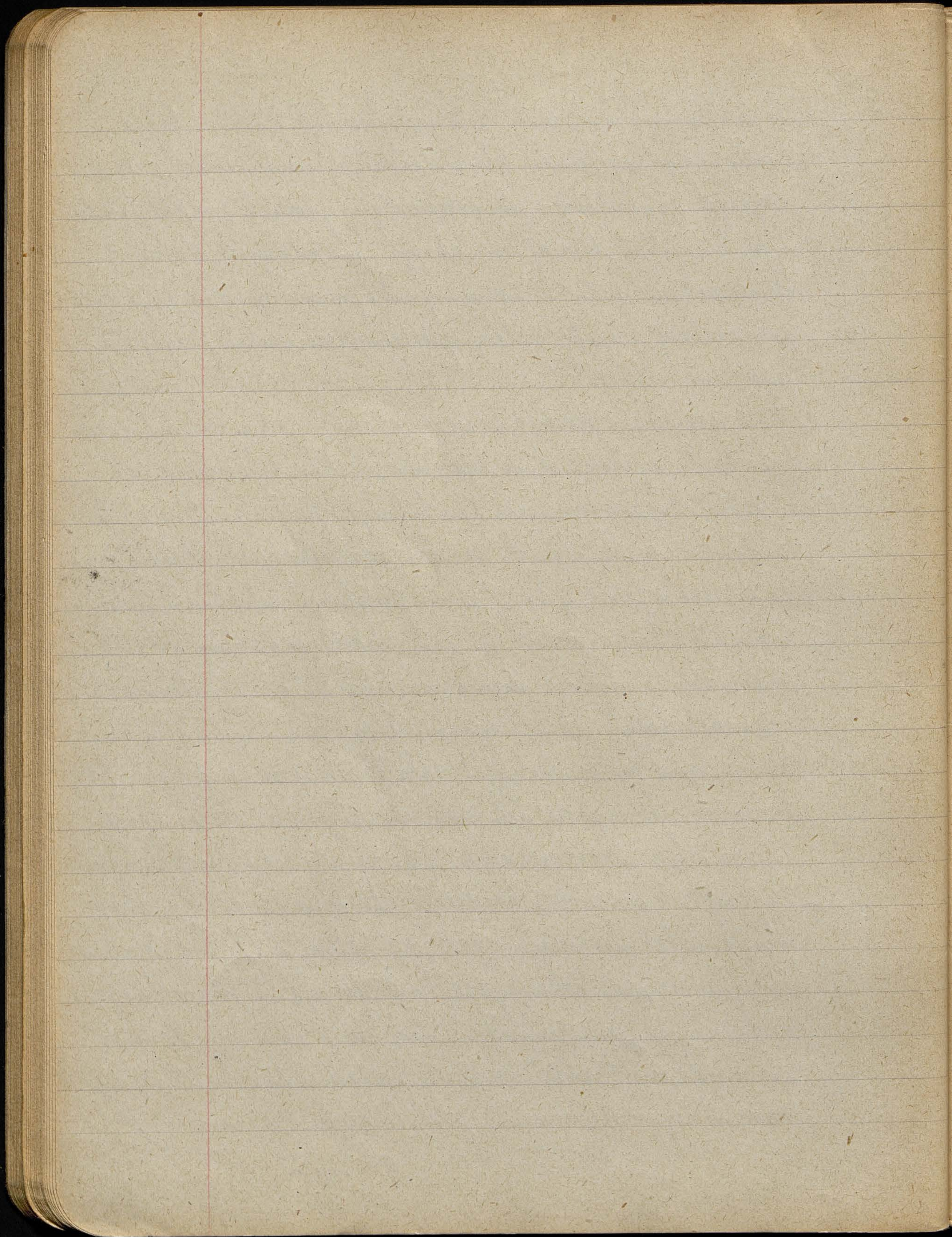
Ostatecznie i moja sprawa jest dosyć pouczającym przykładem. Nie tak dawno brakowało niewiele, żebym został ministrem, dziś chcą mi gwałtem śmierć zadać. Za te same przekonania i czyny byłem przed rokiem wcale godny do wejścia części rządu w tem państwie, które dzisiaj chce mnie za nie zgładzić.

Po tylu doświadczeniach dziejowych lada chłystek nierozgarniony, dorwawszy się przypadkowo władzy, uznaje swoje głupie wypociny mózgowe za ostatni ekstrakt rozumu stanu, ogłasza je za jedynie możliwy system rządzenia i pławi się we krwi ludzkiej. Wyrzutów sumienia nie ma, bo tym masowym rzeziom nie dał imienia morderstw, lecz tytuł egzekucyi, podyktowanych koniecznością państwową. A jeżeli nie jest pełnym analfabetą,



to powinienby wiedzieć, że to państwo było rządzone także wedle innych systemów, które stawiałyby na świeczniku dzisiejszych skazańców i przyznawałyby godność podpór państwa tym, których się dzisiaj masakruje jako zdrajców stanu. Ponieważ nie godzi się przypisywać tym ministrom zbyt przepastnej głupoty, należy gdzieindziej szukać przyczyny tego krwi rozlewu.

W pierwszym rzędzie idzie obłąkanie władzą. Te wiedeńskie biurokraty, wychowane na systemie metternichowskim, tak się czuły skrępowane przez Konstytucyę i parlament, że się to tałatajstwo dusiło poprostu w owych ograniczeniach. Władzę czuje się dopiero w pełni, gdy się może podobnych sobie ludzi masowo zażynać i bezkarnie. To też po zamknięciu parlamentu i zawieszeniu Konstytucyi ~~dynas~~ arcyksiążęta i ministrowie ~~odzyskał~~ uczuli jakoby zerwanie tam i śluz i puścili się bez upamiętania na swywolę jak żaki uwolnione zpod feruły surowego nauczyciela. Ich rasa niemiecka znalazła upust energii w tem mordowaniu. Niemiec nie rozumie panowania inaczej jak pod formą kradzieży, która nosi nazwę aneksyi, okupacyi lub ewentualnie zdobyczy, potem pod formą rabunku, który się nazywa rekwizycyą, kontrybucyą lub poprostu okupem, następnie pod formą mordowania, które nosi imię konieczności wojennej, misyi dziejowej, posłannictwa kulturalnego, ~~ewent~~ w najgorszym razie justyfikacyi – i nakoniec ucisku,

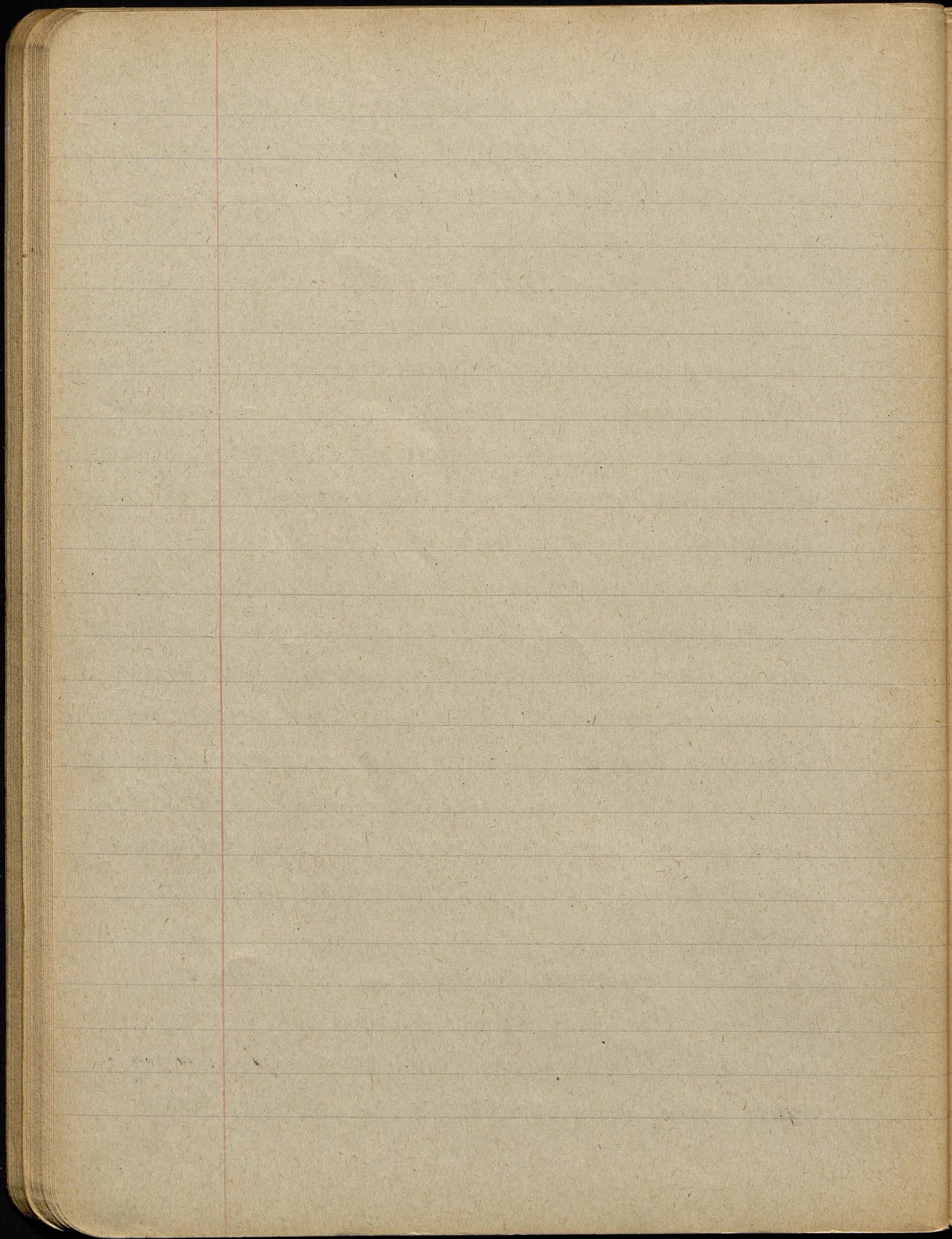


który się nazywa ładem i porządkiem. Rozpuścili więc swoje drapieżne instynkta morderców i złodziei, mając na wszystkie zarzuty łotrostwa jedną odpowiedź: wojna.

Raduje się im dusza w tych rzeziach i podlatuje ku nim jak wiosną ptak ku słońcu, bo mordowanymi są nie-Niemcy. W ten sposób Niemcy austryaccy spełniają germańską misyę kulturalną jak niegdyś ich pobratymcy w Prusiech ~~w~~ książęcych: im więcej Słowian wytępią, tem bardziej stosunek ludnościowy przesunie się na korzyść Niemców i tem więcej zostanie obszarów dla niemieckiej kolonizacyi. A gdyby się udało wymordować wszystkich inorodców, toby było i owszem, bo wtenczas monarchia zyskałaby jednolitość. Wiadomo zaś, że monarchia istnieje nie dla ludów, lecz ludy istnieją dla państwa i dynastyi. Jeżeli spokojne życie dla cesarza i wygodne rządzenie dla jego ministrów można okupić wyrżnięciem ludów niemieckich, to racya stanu wymaga, aby tę rzecz przeprowadzić. I było widać w sądach wojskowych ten pospiech w mordowaniu ludzi, który mógł służyć za dowód, że obawiając się rychłego zakończenia wojny, chcieli jak najdokładniej wyzyskać ten czas wyjątkowy, aby albo całą pracę wykonać, albo przynajmniej wielką jej część.

To się nazywało wiernem służeniem idei państwowej.

W takich rozważaniach przepędziłem długie godziny, aż żołnierz, strażujący na korytarzu grzmotnął kolbą w moje drzwi i zaczął wołać: „Słofen, słofen." Biedny Mazur,

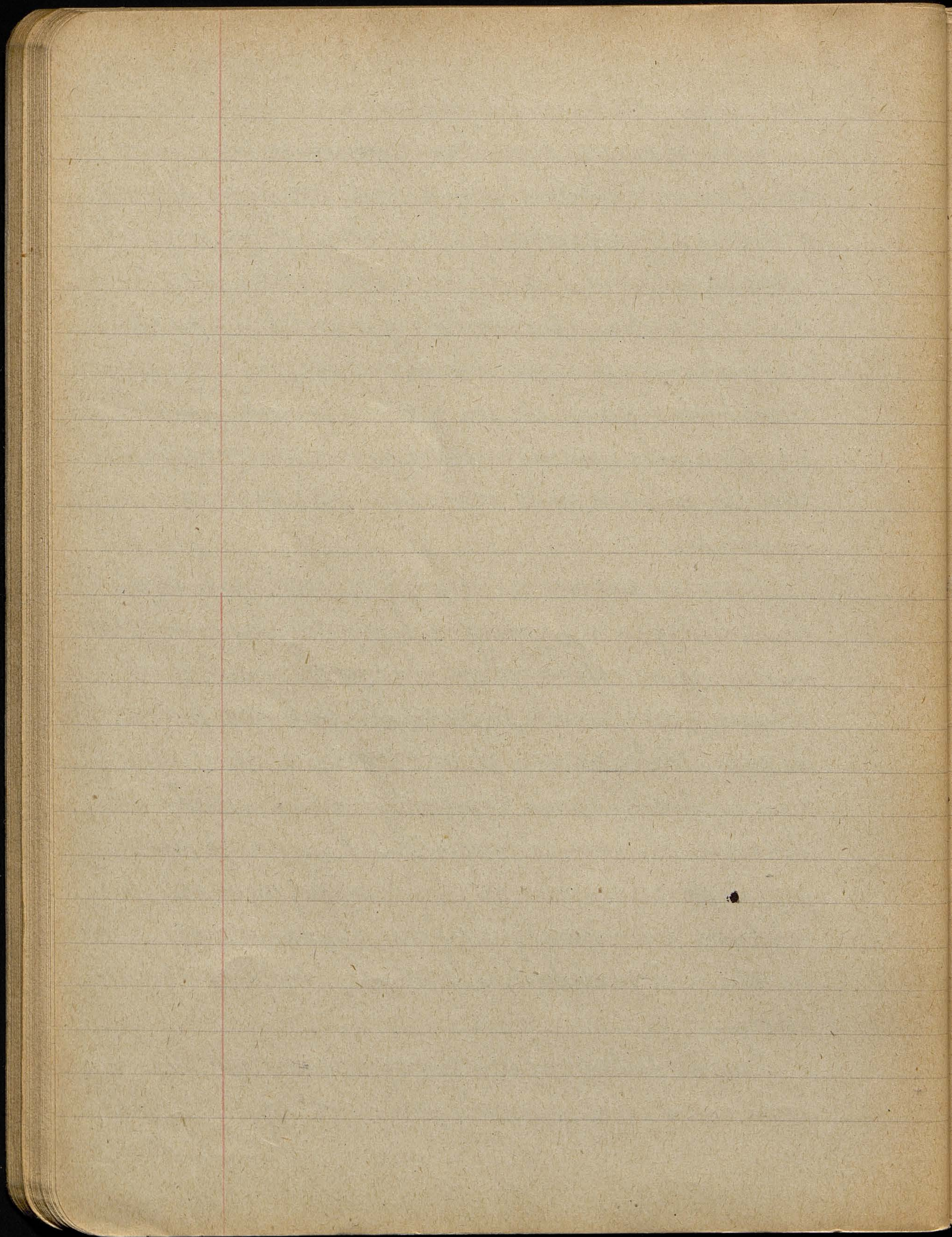


posługujący się urzędowym językiem c. i k. armii.

Gdym się na drugi dzień obudził, ~~dopiero dwóch zdań~~ zdziwiłem się, że mogłem był spać, kiedy obok mnie dokonano odebrania życia człowiekowi i że ten nieboszczyk nie przyszedł mnie niepokoić we śnie. Jednak to życie ludzkie jest przedmiotem małej wartości, a ten duch, który na rozkaz wynosi się z potrzaskanego ciała, jest istotą dziwnie ustępliwą. Pokrajanego żółwia trzeba ugotować, aby pocięte cząstki przestały ~~grać~~ drgać życiem, gdy u człowieka wystarczy maleńka dziurka przez mózg lub przez serce, aby posłuszna dusza wyprowadziła się z uszkodzonego mieszkania.

Kiedy mi przyniesiono ranną kawę, cugsfirer aż się zatoczył, tak zepsute było u mnie powietrze. Zapytałem, czy można okno otworzyć, bo mi oddechu brakuje. A gdym nie umiał tej sztuki dokonać, sam klucznik przysunął stół do ściany, postawił na nim stołek i wspiąwszy się na te schody, szarpnął okno, które się otwarło: nie było zamknięte, mimo przyrządu do otwierania kluczem kolejowym. Chlust mroźnego powietrza przyniósł orzeźwienie. Korzystając z uprzejmości podoficera, zapytałem, czy nie mógłbym poprosić o wydanie czegoś z mojej bielizny. Odpowiedział, że „zameldu je" moją prośbę w kancelaryi.

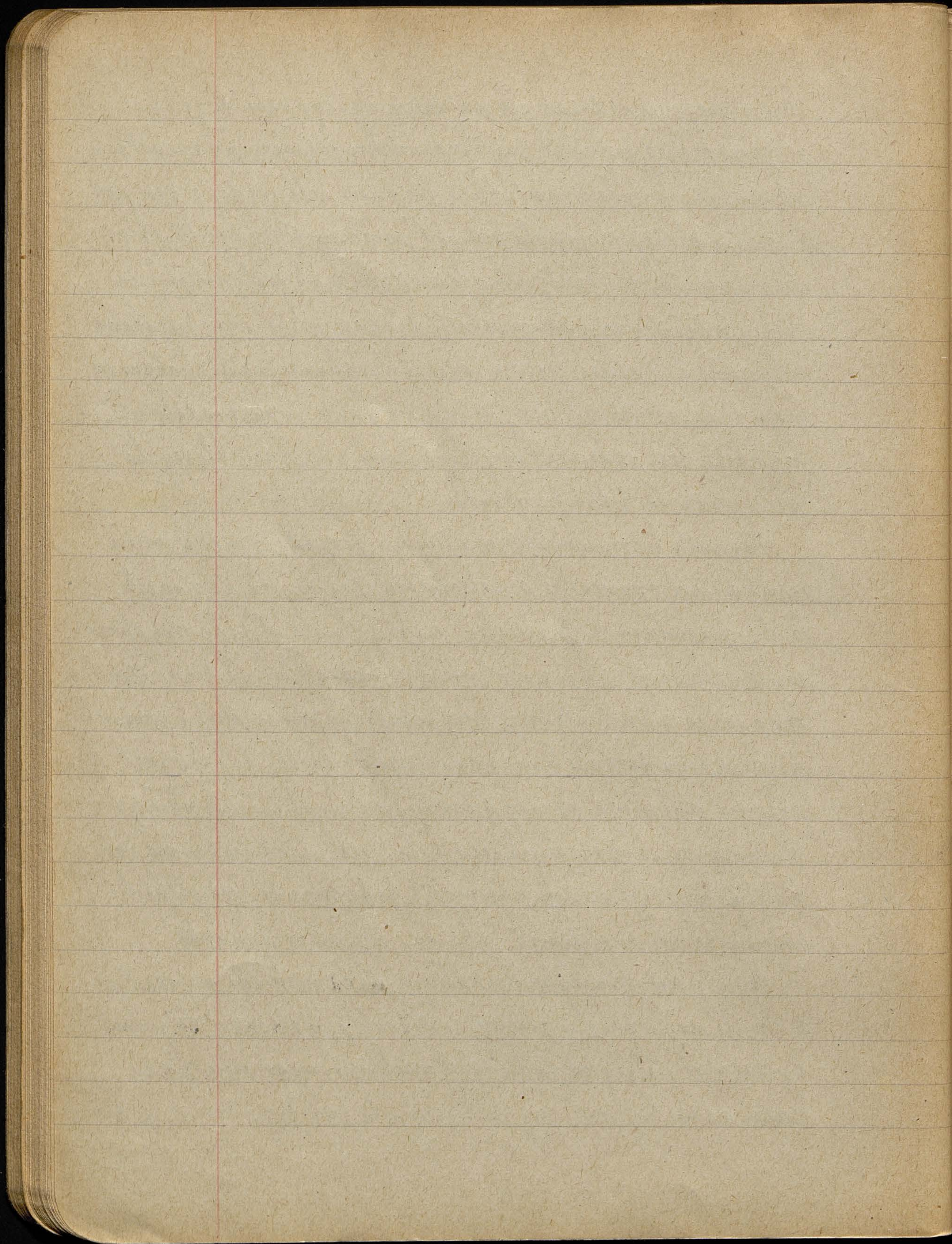
I znowu, postawiony sobie samemu, zacząłem rozważać. Zginę, czy nie zginę? Rząd austryacki dowodnie wykazał, że



chce ślepo wymordować jak najwięcej. Do tego celu wygotował rozporządzenia wojenne, najbardziej krwiożercze ze wszystkich na świecie. Powodem na takie a nie inne cele rządowe jest pod- ciągnięcie obrazy majestatu pod sąd doraźny, Standrecht. Ale brzmienie tych rozbójniczych rozporządzeń jest niewinne wobec interpretacyi samowolnej, dodanej przez sądy wojskowe na rozkaz z Wiednia. Jeszcze będąc w Krakowie, nasłuchałem się wypadków, od których włosy wstają na głowie. A opowiadali nie plotkarze, lecz sędziowie wojskowi, moi znajomi, którzy to przerabiali. Ot kilka przykładów:

Zgonnik limanowski w alkierzu gospody, a więc w kółku zamkniętem, opowiadał o waleczności Serbów. Nie znając ich liczby, przewidywał dla Austryi ciężkie chwile. Kiedy mu opono- wano, zakończył: „A ja wam mówię, że ~~będzie~~ Hoch Serbien." Rozstrze- lono go za zdradę główną, przypisując zapewne chęć i możność przyłączenia powiatu limanowskiego do Serbii (bo taką jest prawna definicya zdrady głównej) oraz zakłócenie spokoju publicznego, chociaż słuchaczy było trzech, w kółku bardzo zam- kniętym, bo jeden z nich zaprosił i podejmował wszystkich, zabrawszy ich do alkierza jako do „chambre séparée".

Były poseł Wincenty Tomaka z Rzeszowskiego wyraził się w chwili ~~woj~~ wybuchu wojny, że Prusak czy Moskal to jeden dyabeł i że Polacy od żadnego z nich nie mogą niczego się spodziewać. Wywieziony do Przemyśla pod bagnetami, sądzony



na śmierć za obrazę sojusznika, zawdzięcza życie natarczywej interwencyi biskupa Pelczara i skazany z łaski na dwa lata twierdzy. Gdyby nie biskup, byłby wisiał.

Ale sądy wojskowe są niczem w porównaniu z samowolą oficerów, którym na froncie wolno bez sądu wieszać i strzelać cywilów, podejrzanych o szpiegostwo. Każdy osioł ~~w~~ rakuski lub madziarski, aby pokryć swoją nieudolność, a okazać swoją tęgiznę, mordował biedną cywilną ludność, a swoje niepowodzenia zwalał na szpiegostwo i zdradę. Dziwna rzecz, to szpiegostwo kazało austryackiej komendzie przegrywać regularnie bitwy od Zbrucza do Dunajca, ale gdy komendę objęli potem Niemcy, jakoś to szpiegostwo nie powstrzymało ich tryumfalnego pochodu przez całą Galicyę. To tylko wtrącona uwaga.

Wiedziałem, że na całej drodze od Lwowa do Stanisławowa cofające się wojska austryackie obciążyły wszystkie drzewa przydrożne w wisielców, czasami po kilku na jednem drzewie. A ileż więcej szczegółów nie doszło do mojej wiadomości?

Wojna rozpętała bestyę germańską w Austryi i ta bestya nagradzała sobie półwiekową powściągliwość. Gdy wojna wybuchła, wszystkie rządy poczęły myśleć o rozszerzaniu fabryk broni, o natężaniu wyrobu amunicyi i ubrań wojskowych, o stwarzaniu warunków zwycięstwa – wszystkie, prócz rządu austryackiego. Gdy powołano pierwsze rezerwy, już we wrześniu okazał się dotkliwy brak broni – rezerwy późniejsze

